

KRONIKA

RODZINNA

N^o 16.

Warszawa, dnia 3 (15) Sierpnia 1873 r.

Serya II.

Warunki prenumeraty.

W Warszawie: w Biórze Redakcyi, z odnośzeniem do domu, rocznie rs. 4, półrocznie rs. 2, kwartalnie rs. 1.

Prenumerować także można po tej samej cenie we wszystkich Księgarniach i Kantorach pism peryodycznych.

W Cesarstwie i Królestwie: rocznie rs. 5, półrocznie rs. 2 kop. 50. Pieniądże nadsyłać należy wprost do Redakcyi.

Kronika Rodzinna wychodzi d. 1 i 15 każdego miesiąca.
Cena pojedynczego Numeru kop. 20.

Biuro Redakcyi
przy ulicy Marszałkowskiej, Nr. 75.

W Cesarstwie Austriackim—w Lwowie w Księgarni Gubrynowicza i Schmidta po cenie: Kwartalnie na miejscu fl. 1 cen. 80. Kwartalnie z przesyłką pocztową fl. 2 cen. 15.

W Krakowie w Księgarni Friedleina: Kwartalnie na miejscu fl. 1 cen. 65. Kwartalnie z przesyłką pocztową fl. 2.

W W. księstwie Poznańskim—w Poznaniu w Księgarni Dasskiewiczca po cenie: Kwartalnie na miejscu tal. 1. Kwartalnie z przesyłką pocztową tal. 1 gr. 6.

TREŚĆ. Ognia społeczne.—Wyjątki z listów Zygmunta Krasieńskiego. (d. c.)—Jak było, (wiersz).—Pod krzyżem, (wiersz).—Silva rerum.—Korespondencya: z Petersburga, przez Artura Dolińskiego.—Dziennik podróży po Niemnie, przez Zygmunta Glogera. (Ciąg dalszy).—Nico o powieściach w „Bluszczu,” przez Felikse Eger.—Kronika Ruchu Naukowego. Postępy geografii. (Ciąg dalszy).—Pamiętnik Ewuni, z opowiadania spisała Zofia D....a. III. IV.—Książę Morei, powieść napisana po grecku przez A. Ranagabé. (Dokończenie.) Od Redakcyi Kroniki.

OGNIWA SPOŁECZNE.

Dwa są sposoby mierzenia do ideału różności obywatelskiej między ludźmi: jeden łatwy polegać może na poniżaniu jednostek górujących nad rzeszą, by się z jej niskim poziomem zrównały; drugi nierównie trudniejszy polega na tem, by dźwignią Archimedesza podnieść rzeszę do wysokości jednostek wybranych. Pierwszy ostrzony teoretycznie od Gracchów rzymskich do socyalistów francuzkich, próbowany nawet w praktyce kraju będącego niby kotłem do warzenia coraz nowych pomysłów, okazał się bardzo skutecznie prowadzącym społeczeństwo cywilizowane do barbarzyństwa. Drugi zmuśny, uciążliwy, niewypowiedzianie powolny na nasze gorące czasy, wygląda jak podnoszenie ogromnego starego domu dla podłożenia kilku wieńców nowych podwalin, ale za to był i będzie jedynym prawdziwym środkiem cywilizacji. Pierwszy zelżone trupy Lavoisier'a i Chenier'a wtrąca do wspólnego ze złoczyńcami dołu; drugi z barłogu nędzy wynosi Franklina i Herszla na wyżyny społeczeństwa. Te dwa systemata rewolucyjnego i chrześcijańskiego niwelowania społeczności europejskiej, tak samo dziś jak przed laty mają swoich apostołów i przeciwników; pierwszy z nich zwłaszcza mocno wicherzy w sferach przemysłowych, upatrując polepszenie losu robotników w zubożeniu fabrykantów, drugi w ciszy przemysłowa i pracuje nad podniesieniem moralnym i materialnym pracowników. Nie potrzebujemy się rozpisywać, który z tych dwóch kierunków ma całe nasze współczucie, a tem samem nie potrzebujemy się spowiadać, z jakim usposobieniem przystępujemy do krótkiego opisanie kilku ogniw łączących lub mających wkrótce połączyć zarząd, urzędników i rzemieślników kolei żelaznych Warszaw-

sko-Wiedeńskiej i Bydgoskiej. Dzieła te zmierzające do podniesienia bytu moralnego i materialnego mnóstwa ludzi, tem większą obudzają w nas radość, że dowodzą faktycznego zwycięstwa zasady chrześcijańskiej nad zachciankami innego rodzaju, które wychodząc z warsztatów tychże samych kolei, znalazły nawet „echo” w organach nie przebiegających w środkach robienia hałasu. Owszem radość się jeszcze potęguje okolicznością, że właśnie niejedna głowa, w którą godziły chłopięce pioruny, przyczyniła się do urzeczywistnienia dobrodziejstwa, wpływającego na klasę ludzi najbardziej potrzebujących dźwignienia.

Na czele przedsięwzięć prowadzących do tego celu, stoi najnowsze, ale w skutkach najdonioślejsze, sięgające też po za granice wspomnianych kolei żelaznych, a zatem z bliska obchodzące szersze koło publiczności. Mówimy tu o Szkole technicznej specjalnej przy warsztatach kolei żelaznych Warszawsko-Wiedeńskiej i Bydgoskiej. Zasady szkół podobnych są zatwierdzone dla wszystkich kolei żelaznych, parę z nich już skorzystało nawet z przywileju i otwarło zakłady podobne do mającego się otworzyć warszawskiego. Ten ostatni czeka tylko zatwierdzenia programu, by stać się upragnioną rzeczywistością.

Szkola techniczna otwiera się przy warsztatach obu kolei znajdujących się na stacyi warszawskiej. Zadaniem jej będzie kształcenie specjalne osób poświęcających się czynnościom technicznym na kolejach żelaznych, a mianowicie kształcenie maszynistów, ich pomocników, majstrów do budowania machin i wyrobienia w ogóle przedmiotów potrzebnych na drogach żelaznych, telegrafistów i innych niższych specjalistów techników. Szkoła będzie się składała z dwóch oddziałów: przygotowawczego i specjalnego. Oddział przygotowawczy przeznacza się głównie dla dzieci osób służących na wspomnianych kolejach żelaznych; kurs jego dwuletni, odpowiada mniej

więcej zakresowi szkół elementarnych. Oddział specjalny, do którego pierwszeństwo wstępu mają osoby zostające w służbie kolei Warszawsko-Wiedeńskiej i Bydgoskiej, oraz ich dzieci, obejmuje przedmioty ogólne i specjalne; kurs nauki rozkłada się na trzy lata. Przedmioty wykładane w obu oddziałach są następujące: 1. Z religii, katechizm i krótka historia święta. 2. Z języka rossyjskiego, nauka czytania druków i rękopismów, pisanie za dyktowaniem, objaśnienia prawideł gramatycznych, uczenie się na pamięć kawałków wierszem i prozą, opowiadania i opisy własne na temat zadany. 3. Z języka polskiego, nauka czytania druków i rękopismów z niezbędnymi objaśnieniami w obu klassach przygotowawczych. 4. Z arytmetyki, cztery działania z liczbami prostemi i mierzonymi, ułamki proste i dziesiętne, nauka o proporcjach z zastosowaniem do reguły trzech, oraz wyciąganie pierwiastków kwadratowych i sześciennych. 5. Z geometrii w oddziale specjalnym, rzecz o punkcie, linii, przestrzeni, planimetria i stereometria. 6. Z fizyki w oddziale specjalnym, ogólne wiadomości w klassie 1-ej, oraz zastosowanie fizyki do nauki o telegrafach w klassie 2-jej. 7. Ogólne wyobrażenia o rzemiosłach, a mianowicie o kowalstwie, kotlarstwie, ślusarstwie, odlewnictwie, tokarstwie i stolarstwie, w oddziale specjalnym. 8. Szczegółowa nauka o telegrafach w oddziale specjalnym. 9. Z mechaniki w oddziale specjalnym, rzecz o parze i jej własnościach, o kotłach i machinach parowych tak stałych jak ruchomych, o lokomotywie, jej urządzeniu, niebezpieczeństwach z nią wypadkach i sposobach ratunku, wreszcie o budowie kolei żelaznych, a zwłaszcza ich powierzchni. 10. Z algebry w oddziale specjalnym, cztery działania algebraiczne pierwszego stopnia z jedną, dwiema i trzema niewiadomymi. 11. Z geografii w obu oddziałach, ogólne pojęcia o geografii astronomicznej, fizycznej i politycznej, ogólne wiadomości o pięciu częściach świata, geografia Ce-

Paryż 24 Septembra 1841 r.

Ponure to miasto wielkie, błotniste, kwiami z kartonu obwisłe! Tam głód zre robotników wnętrzości, a chciwość zbytku ich wyobraźnie krwawe. Tam nuda zre mózgi i serca bogaczy, a strach przyszłości ich wyobraźnie blade. Tam wszystko co podłe, brudne i ostatecznie zapsute, wydobywa jeszcze z siebie koncept komiczny: do zębów fałszywych przypina śmiech chwilowy i bufonadą się obleka, by umrzeć nibyto *wodwilowo*. Tam gdzie cywilizacja ogromna ale egoistyczna, gdzie administracja olbrzymia ale despotyczna zapomniawszy o reszcie kraju wszystko skupiła, scisnęła, pochłonięła w środek jeden, i serce Francji urobiła z tego milionowego steku ulic, kamieni, rynsztoków, szpitalów, więzień, sal policyjnych, świątyń mody, gmachów rozpusty i teatrzyków lekkomyślności: serce to choruje na napływ krwi zepsutej, spiekłej, nie arteryalnej, sinej-krwi co nie *życie* ale *raki* gryzące tworzyć umie. A gdyby to serce w wielkim jakim aneuryzmie pękło, co będzie z Francją która przystała na niego, która w nie wszystką siłę swoją zesrodkowała? Amerykańskie przypomina wulkany co błoto, wodę i zdechłe ryby miasto ognia pod gwiazdy wyrzucają.

Czytając uważnie historią Cesarów rzymskich, zdaje się iż opis się czyta jaki statystyczny chwili terażniejszej; z tą różnicą tylko, że w Rzymie motłoch, demokracja zgnęła materialnie, była się cała w jedną osobę, jakby w jednego boga pogańskiego, w Cezara wcieliła — i Cezar był zły za miliony, szalony szaleństwem milionowym, rozpustny milionowo. Dziś w Paryżu, dawna monarchia, dawne cesarstwo, dawna jedność zamieniły się w demokracją — i kształtem demokratycznym dzieje się też sama zguba, odnawia się też same przekleństwo; podobnemi konwulsjami epileptycznemi, w podobną otchłań materji gnijącej, zapada Lud. Lecz różnica formy zwierzchniej niech cię nie łudzi. W Romie, epoka Cesarów była także epoką demokracji doszłej do najwyższego stopnia przewagi i rozwiązości. Cezar był tylko jej pierwszym urzędnikiem, a nigdy monarchą!

Arystokracja bez demokracji, tak jak demokracja bez arystokracji, są tylko rzeczami *umierającemi*. Pierwsze konają w zgłupieniu, w odrętwiałości, w letargowem kretynizmie, z podejrzliwością wenecką policyantami łożę śmierci sobie otaczając; drugie w anarchii, w błocie i krwi, z czarą pełną wódki, z wieniec tulipanów na głowie, bo taki ich smak estetyczny!

To jedno tylko *żyje, trwa i wzrasta*, co przez lud odżywia się w indywidua znakomite, a przez indywidua te prowadzi lud. Lud jest materiałem, łodygą, arystokracja kwiatem; owocem zaś jest państwo całe. A z tego owocu nasienie, to znów lud, a z tego ludu kwiat, to znowu arystokracja. I tak ciągle, coraz wznoszącym się i postępowym kręgiem!...

sarstwa Rossyjskiego i Królestwa Polskiego, a nareszcie w oddziale specjalnym geografia kolei żelaznych w Europie. 12. W oddziale specjalnym, układanie rozmaitych sprawozdań i raportów służbowych w sprawach kolei żelaznych. 15. W obu oddziałach rysunek linearny składowych części machin z natury, oraz rysunki całych machin. 14. W oddziale przygotowawczym, kaligrafia. — Nauki odbywają się od $\frac{2}{14}$ stycznia do $\frac{18}{30}$ listopada, w oddziale przygotowawczym po 24, a w specjalnym po 15 godzin tygodniowo. Reszta czasu poświęca się na egzamina wstępne i przechodnie, oraz na wakacje zimowe, słuszenie przełożone nad letnie z powodu charakteru zajęć w szkole.

Podaliśmy tu całkowity plan nauki, bo w ten sposób najlepiej można powziąć wyobrażenie o zakresie działalności zakładu. Z powyższego widzimy, iż zakres działania szkoły kolei żelaznych Wiedeńskiej i Bydgoskiej jest wcale nie szczupły, a pomimo charakteru wybitnie specjalnego, nie zabraknie jej środków rozwijania umysłu swoich słuchaczy, bez czego mogłaby przyspasabiać mniej więcej zręczne automata, ale nie ludzi umiejących radzić w każdej potrzebie, jakich właśnie najbardziej żądać należy dla kolei żelaznych. Prócz tych pociągających przymiotów, do wstępu do niej zachęcają też rozmaite ułatwienia rozumnie przewidziane w ustawie. Osoby zostające na służbie powyższych kolei żelaznych oraz dzieci tych osób mają wstęp do szkoły bezpłatny; postronni zaś płacą za słuchanie wykładów w oddziale przygotowawczym po 6, a w specjalnym po 20 rub. rocznie. W porównaniu z opłatami pobieranymi w szkołach rządowych, a tem bardziej w prywatnych, w których to ostatnich uczniowie przychodzący płacą około 50 rubli rocznie; — kwot powyższych mających się pobierać w szkole technicznej, wystawionej na rozliczne wydatki, od których są wolne szkoły ogólne, nie godzi się nie nazwać umiarkowanymi. Wykład nauk w szkole przygotowawczej codziennie odbywać się będzie od godziny 8 do 12-iej z rana; w oddziale zaś specjalnym w dni powszednie na wykład przeznaczają się godziny wieczorne wolne od pracy codziennej od 6 do 8-iej, a w dni świąteczne godziny ranne od 8 do 11-iej. Tym sposobem jeżeli uczęszczający do oddziału przygotowawczego musi pracą zarabiać na życie, ma do tego wolne całe popołudnie; uczęszczający zaś do oddziału specjalnego może wcale nie przerywać chlebobajnych zatrudnień obowiązkowych. Ułatwienie to tak wielkie dla ludzi niezamożnych, że samo jedno starczyłoby za różnorodne dogodności mniej praktycznego znaczenia. A jednak to jeszcze nie wszystko. Uczniowie biedni, ale pilni i dobrych obyczajów, z mocy art. 10-go ustawy mają widoki zupełnego uwolnienia od opłaty, na wniosek rady szkolnej zatwierdzony przez radę zarządzającą kolei. Ach! nie każdemu wiadomo, co znaczy dla ubogiego ojca obarczonego rodziną, wyłożyć od razu chociażby tylko sześć rubli! Starsi lub chłopcy poduczeni w domu lub szkole w zakresie kursu elementarnego, mogą być po egzaminie przyjmowani wprost do oddziału specjalnego, a ukształceni nawet do 2-iej klasy tego ostatniego. W ten sposób wszystkie poprzednie nabytki wiadomości nie będą zmarnowane, i uczyć się od razu przystąpi do ćwiczeń technicznych. Liczba

uczących się w każdej klasie nie ma przewyższać 40-tu, zatem w obu oddziałach 200-tu; lecz rada zarządzająca kolei na wniosek rady szkolnej może otworzyć klasy paraboliczne, a tem samem liczbę uczniów zwiększyć do 400. Przy takich warunkach można być pewnym, że nie tylko szkole technicznej kolei żelaznych, lecz i jej klasom parabolicznym na wychowancach zbywać nie będzie. Owszem nie jeden błogosławić będzie rękę co mu taką sposobność nastęrczyła.

Przedmioty nauki ogólniejszej osnowy będą się wykladały przez powołanych do tego zwykłych nauczycieli szkolnych, wykład zaś przedmiotów specjalnych, praktycznych, zamierzono powierzać starszym maszynistom i mechaniczom warsztatów ogólnych, i to przede wszystkim takim, którzy sami przechodzili różne szczeble w zakładach mechanicznych. Względ to ważny, mianowicie z tego powodu, że w oddziale specjalnym szkoły znajdzie się wielu słuchaczy z pomiędzy majstrów, którym żeby wszystko wyłuszczyć jak należy, potrzeba znajomości ich fachu, a nawet ich fachowego języka; od lepszego zaś lub gorszego zrozumienia wykładu zależeć może w przyszłości wielu osób zdrowie i życie. Do pomocy przy wykładach urządzi się biblioteka specjalna, gabinet fizyczny i muzeum modeli machin, rzecz pod względem praktycznym nieoceniona. Zarząd szkoły tworzy się również z baczeniem na jej zadanie praktyczne. Szkoła zostaje w zawiadowaniu ministerium komunikacji i ma zatwierdzonego przez nie kuratora; lecz bezpośredni kierunek zakładu zostaje w rękę rady szkolnej, złożonej z trzech wyższych urzędników kolei żelaznych, z dozorczy szkoły i nauczycieli, o których się wyżej mówiło. Mianowanie członków rady szkolnej, nauczycieli i dozorczy, oraz prezentacja kuratora należy do rady zarządzającej kolei żelaznych Warszawsko-Wiedeńskiej i Bydgoskiej.

Fundusz na urządzenie i utrzymanie szkoły technicznej dają przedewszystkiem dwie wyższe koleje żelazne, uzupełniają zaś będą opłaty uczniów i inne pomniejsze dochody, a między innymi także ofiary dobrowolne. Na pierwszostkowe urządzenie zakładu znajduje się już w rękę zarządu summa 6,945 rub., powstała z potrącenia po 15 rub. na wiorstę z dochodów obu kolei żelaznych. Taką summa z tego samego źródła corocznie będzie się obracała na utrzymanie zakładu. Przypuszczając dochodu z innych źródeł tylko 3,000 rub., szkoła będzie rozporządzała budżetem 10,000 rub., co według zdania osób świadomych przedmiotu w zupełności wystarczy na opędzenie wszystkich jej potrzeb.

Tak kiedy zostały głosem wołającego na puszczy wszystkie projekta gimnazyów realnych i klasycznych, mających powstać z dochodów miasta i ze składek publicznych, jedna instytucja, przy dobrej woli swych kierowników, potrafiła znaleźć środki na utworzenie szkoły, nie noszącej szumnego imienia gimnazjum, ale co najmniej równie pożytecznej. Ilu przy jej pomocy wstąpi na podniosłe szczeble drabiny społecznej, zmierzając do równości z innymi nie w mrokach padołów, lecz na słonecznych wyżynach? Nie wątpimy, że wielu takich się znajdzie. Wzory tuż mają przed sobą. (d. n.)

XII.

Monachium 18 Nowembra 1841 r.

Co robisz? powiedz! Ja przebyłem pół-wtora miesiąca na szczytach gór, nad zwierciadłami jezior, kąpiąc się w słońcu i księżycu, rosnąc w otuchę, że stworzony świat skał i wód pięknym jest, pocieszając się jego widokiem, przeszłość za którą tęsknię i przyszłość której się lękam odsuwając z przed ócz ducha, moment starając się uwiecznić, stawiając go sobie przed duszą jak posąg greckiego Boga, doskonale piękny choć ściśle skończony! i modląc się przed tą znikomą terażniejszością, i czując że jeszcze mogę być szczęsnym natchnionym, że jeszcze nie umarł wieczną śmiercią Ducha! Oto masz ogólny rys czasu przeżytego, odkąd do ciebie nie pisałem. Po tych feryach duszy, wróciłem tu; zastałem śnieg, zimno, mgły północne. Zabawię tu jeszcze ze trzy tygodnie lub więcej; potem, tam gdzie wiosna, za Alpy! Odpisz prędko i kochaj wiecznie!

XIII. 1)

5 Decembra 1841 r.

Co to za dzień? gdzie, kiedy, podobny dzień wśród mgieł poczęty, wśród mgieł dopełniony, cały dziwny, smutny, fantastyczny, ruchomy z miejsca na miejsce a nigdzie mi spoczynku nie chcący dozwolić, od rana swego po wieczór swój gwałtnie a w nocy na chwilę mnie usadowił, niby-to stanąć mi kazał, a na to by mnie tem pewniej pchnąć w samo serce; a ledwo pchnął i rozkrwawił, znów rzucił w ruch, ciemność, zimno, porwał na bite drogi świata, wirami otoczył, i tak popędził, popędził daleko! jak umarłego bez grobu, jak upiora, jak sierotę! Gdzie i kiedy? Czy dawno już? O dawno! w oddalonych stąd stronach! Już wtedy zima była, już mgła zalegała widnokrąg, nieba ani zobaczyć, mróz gryzł w twarz, żarł palce; a od dnia tego, zdaje się, planeta jeszcze dalej odchylił się od słońca, jeszcze głębiej zanurzył się w przestrzenie bez ciepła — a jednak dziś ten sam dzień wstał lazurowy i cudny, bez chmur i ciepły, gdyby jeden z pierwszych dni jesieni! Nad moim oknem, tam wysoko nad dachami, widzę błękitu pasmo prawie włoskiego!

Jeszcze rano, nie mogłem dospać, śniło mi się że w Melun.

Wczoraj długo w noc rozprawialiśmy z Konstantym 2) o mojem przeczuciu magnetycznego objawienia w okręgu natury 3). Jego bronzowy rozum nie lubi takich przeczuciów; ale gdy mu powiedziałem że np. jedna taka prze-

1) W listach XIII-tym i XIV-tym i w ogólności w listach z tej epoki, pisanych pod wpływem filozofii niemieckiej, surowa krytyka znajdzie ustępy i pojęcia niezupełnie zgodne z nauką, jaką nam Kościół Katolicki podaje. Przytaczając je wiernie, wykażemy następnie listami z lat późniejszych, że autor skończył na zupełnej zgodzie z nauką Kościoła. (P. R.)

2) Konstanty Danielewicz.

3) Nazwę *magnetyzm* bierze tu autor nie w powszechnem znaczeniu, z jakim łączy się *magnetyzowanie*. W następnym liście najwyraźniej oświadcza, że mu się ta nazwa nie podoba i chciałby znaleźć inne słowo, „któreby oznaczało *potęgę* duchowi oddaną, słowo idealniejsze,” ale bliżej żądania swego nie objaśnia. (P. R.)

miana zmysłowa, za pomocą której każdy człowiek mógłby dojrzeć w odległości kiedyby zechciał, kogoby zechciał, i co o tej chwili tamten robi, musiałaby na zawsze *dobro* ustalić na ziemi, i urzeczywistniłaby dotkliwie *Wszech-Obecność Boską*, bo wtedy każdego wrzeczy samej *oko* Boże prawdziwie w oku drugiego człowieka miałby zawieszony nad sobą: zdumiał się i zaczął dowierzać myśli mojej!

Dziwna, że zwracając w głąb przeszłości, napotyka się coraz głębsze wyobrażenia filozoficzne, coraz jaśniejsze pojęcia ludzi o własnych losach, zamiast niedorzeczniejszych się napatrywać. Mitologia Grecka jest popsutym już i rozerwanym zgiełkiem pierwotnego *mytu* Hezydoda. W Teogonii jego uważaj jak świat i świata losy pojete. Na początku Cztery nieoznaczone Bogi, pełne tajemnicy: *Eros* (miłość), *Chaos* (nieład zewnątrz ziemi), *Ziemia*, *Erebos* (nieład w środku ziemi). *Eros* łączy *Chaos* z *Erebem*, i wnet znikają ze sceny wszyscy troje i tylko zostaje *Ziemia*, która jako największe Bóstwo rodzi *Uranusa* (niebo). Tu następnie epoka rządów *Uranusa*; ale syn jego *Kronos* (czas) zrzuca go z panowania i sam bierze świat w rządy swoje, co spłodzi pożera, aż wnuk mu się urodzi *Zeus* (Jupiter później, ale tu symbol człowieka), a matka, raczej prababka jego, *Ziemia*, lękając się by go także *Kronos* nie pożarł jak wszystkie inne dzieci swoje niebieskie, chowa go przed nim w swoich jaskiniach aż dorośnie. On wtedy *Kronosa* zrzuca z tronu, *Kronosowi* panowanie odbiera, (Czasowi człowiek wydziera berło) i zaczyna panować na ziemi, ale sprawiedliwie i rozumnie; pojmując za żonę *Mitis* czyli *Mądrość*, lecz (dziwna! w pogańskiej Teogonii), nie w małżeństwo cielesne, ale zupełnie tylko w duchu się z tą pierwszą żoną zaślubia; potem drugą bierze, a jej imię *Sprawiedliwość*, ztąd rodzą się *Gracye* i *Muzy*. Wreszcie ostatnia córka mu na świat przychodzi, ale równie dziwnym jak związki z pierwszą żoną sposobem, bo mu cała już w zbroi z głowy wyłania się i jej imię *Atene*, *Pallas*, *Minerwa* czyli *Rozum*.

Takie pierwsze podanie Mitologii Greckiej; a następne jej ornamenta, bajeczki, anegdotki przymieszają się do niej z postępem czasu, lecz nie są z prawdziwej jej podstawy, z zarodkowego jej pojęcia rodem! Widzisz więc tu trzy rzeczy bardzo zastanawiające. Na początku wszystkiego *Miłość*; ona nieład godzi i przejednywa, potem usuwa się jakby w nieokończoność jakąś, daleko, i zostawia świat, wyobrażony przez *Ziemię*! *Kronos*, Czas, zaczyna się na niebie z ruchu ciał niebieskich, które go mierzą, i trwa w swej ślepej potędze dopóki człowieka nie porodzi. *Zeus* niezawodnie jest to pojęcie *Ludzkości*, Chrystus niejako pogański, i tu występuje jako duch wyższy nad zmysłowość, aż wreszcie wyda z siebie *Rozum*; ale nie *Rozum* li tylko rozumujący, rozplyniony, rozgazowany, lecz *Rozum czynny*, w zbroi, z orężem w ręku, córkę swoją *Minerwę*! Czyż w tem wszystkim nie ma dziwnej wzniosłości, powagi, godności, prawdy pojęcia? Czyż już tu nie występuje ta *Ludzkość* na ziemi, która w Chrystusie objawiona została jako *przedwieczna* i *wieczna* w Bogu? Ta *Ludzkość* poznać siebie i Boga przeznaczona? Ta *Ludzkość* trwalsza niż czas, silniej-

sza niż potęgi natury! boska nareszcie! Bo uważaj: jeśli Bóg człowieka stworzył, jakżeż go mógł stworzyć inaczej, jak wywodząc, wyprawdając go z siebie; a jeśli z siebie go wyprowadził, to wprzód nim go tu postawił, miał *Ideę* jego w sobie — czyli *Ideał* ludzki i boski zarazem *Ludzkości* był w Bogu. I ten to *Ideał* Boski jest drugą *Trójcy* osobą, jest *Chrystusem*, który przed początkiem człowieka i świata, już był w Bogu jako Syn Boga i na wieki w nim jest i będzie, i przez który każdy z nas jako jego odbicie, pośredniony jest z Bogiem, zlany z Bogiem i nieśmiertelny w Bogu! I o tyle tylko tak, o ile jest tego Boga ludzkiego w Bogu odbiciem, tej myśli Bożej odwiecznej o *Ludzkości* obrazem!

W Teogonii Hesioda masz oczywiście choć zamglone i rozerwane pojęcie tej samej prawdy. *Zeus*, Człowiek, jest synem Czasu, wnukiem *Nieba*, prawnukiem *Ziemi*, praprawnukiem *Miłości*; i on ziemię ma opanować, czas podbić, przez *Mądrości* duchowne posłubienie i porożenie z siebie *Rozumu czyniów*. Takie jest pierwsze zdanie mitologii o tym samym *Zeusie*, który później stanie się *Don Juanem* Olympu i same głupstwa będzie broił, przemieniając się raz w byka, to w łabędzia znowu. Tak się zwykle czystość pierwiastkowa wszelkich tradycyj zaciemnia i przerabia; ale dano krytyce ludzkiej ją odszukać, odnaleść, i to cudownym darem rozumu naszego, zapewniającym mu panowanie nad przeszłością.

Pięknie św. Paweł, bosko pięknie wyrzekł: „*pierwszy człowiek z ziemi ziemski, — wtóry człowiek, sam Pan z nieba.*” O Adamie nam mówią, że w raju był, to jest szczęśliwy, że nieśmiertelny był, że wstydu nie czuł żadnego. Co to znaczy nie czuć wstydu? To jest być *całością* w sobie: bo dusza tylko wstydzi się ciała; czujesz, że ty dusza, wstydzisz się *siebie* ciała. Gdybys nie czuł się tem samem co ciało, nie miałbys się *czego* wstydzić; a znów gdybys nie czuł się różnym od niego, nie miałbys się *czego* wstydzić. Więc *wstyd* jest pierwszym śladem, cechą, piętnem rozpadnięcia się *ja* Adamowego na *duszę* i *ciało*; pierwszą chwilą *rozdzielenia* w sobie samym, walki, antagonizmu, który odtąd przez wieki się ciągnie, raz z przewagą *ciała* jak w pogaństwie, to znów *duszy* jak w chrześcijaństwie. Lecz *Adam* o ile w raju był *całością*, był doskonałą zgodą *wewnątrz* z *zewnątrzem*, *ducha* z *ciałem*, *serca* z *rozumem*, i dla tego *nieśmiertelny*, bo przez walkę i rozdział nie się w nim nie psuło! Był w stanie, który z naszym porównany, mógłby zwać się *stanem cudownym*! bo zapewne ta ścisła harmonija *ducha* z *ciałem*, musi być matką cudów wszystkich, które są zasadniczą, pierwszą byłą a będą ostatnią naturą człowieka, w *Chrystusie*, jako w *Ideale* *Ludzkości* bożej, już objawioną i życia cudownością i zmartwychwstaniem i urodzeniem z dziewicy! Lecz cóż to jest cudowność? na czem zależy? Mojem zdaniem, na doprowadzeniu do najwyższego stopnia *rzeczywistości* zewnętrzej, wewnętrznym naszym uczuć, woli, pomysłów! Czyli na tem, by *niemocy* ducha, który tylko chce, myśli, czuje, ale wszędzie na szorstkiej i twardej materji, jak fala płynna na skale kona, przyszła w pomoc giętkość, posłuszeństwo, miękkość, wierność tejże materji z nim pogodzonej, podbitej jemu! A wtedy stanie się naturą świata cud! Więc mi

90.

wypada z tego, że dotąd jedyna potęga natury, zdająca się dążyć do tej przyjaźni z człowiekiem, jest magnetyzm; że ona jedna zdaje się być jakoby wspomnieniem rajskiego stanu, że ona jedna jakby przekroczeniem zapór śmierci, jedna jakoby doskonałym przyprawieniem zmysłów do potęgi, której od nich duch wymaga! W duchu naszym wieczne jest wspomnienie naszej natury *Bożej*, zasadniczej, dla tego dla ducha niema przestrzeni ni czasu prawie! Ale duch nasz nie jest *całością* *Ja* naszego! Dopiero ta *całość* jest prawdziwie *Boską* i *ludzką* zarazem, *cudowną!*—w jednej chwili idealną i rzeczywistą zarazem, to jest, że co *Duch* zażąda, to się w zmysłach natychmiast dzieje, co *Duch* pomyśli, to się w zmysłach natychmiast stwarza!

Cała starożytność pogańska na to tylko pracowała, by wykuć posąg cielesny człowieka: tem jest *Bóg* Grecki w sferze piękności, tem jest *Rzymska* potęga w sferze polityki! Świat chrześcijański od dwóch tysięcy lat na to pracował, by zupełnie inny przeciwny tamtemu posąg postawić — posąg *duchowy* człowieka! Tem jest katolicka sztuka w sferze piękności, *Madonna* jako najwyższy jej wyraz! tem filozofia dzisiejsza w sferze najwyższej samego *Ducha*! Lecz objawienie *Zbawiciela* nieco więcej zawiera niż posąg *Ducha* ludzkiego: ono zawiera w sobie zlanie się w coś *Boskiego* trzeciego, tych dwóch posągów dotąd stojących naprzeciwko siebie na planecie i pytających się nawzajem: „Kto ty jesteś?” Bo *Duch* tylko siebie rozumie, a ciało tylko siebie czuje! Jest powiedziano że *Chrystus* jest doskonale człowiekiem a zarazem *Bożą* osobą! Czyż niema tu najdoskonalszego zlewku? Czyż tu niema znów *całości*? i czy dotychczasowa praca tych dwóch tysięcy lat nie jest dotąd tylko *częścią* tej *całości* zawartej w słowie *Syna* *Bożego*? A jeśli te dwa posągi zlać się mają w coś trzeciego, czegoż im niedostaje, by z posągów przeszły w jedną żywą *rzeczywistą* istotę? Oto im niedostaje związku między sobą, spójni harmonijnej! A czem jest spójnia taka, zgoda taka między posągiem *Ducha* a posągiem *ciała*? Czyż nie doskonale w drugim pierwszym odbijanie się, czyli przeprowadzenie w *rzeczywistość* widomą, dotkliwą, słyszalną, niewidomą, niedotykalną, niesłyszalną pierwszego! A czego takie przeprowadzenie się tyczy, jeśli nie okręgów widomych natury? A jakaż siła w naturze zdaje się za dni naszych wieść do tego, jeśli nie magnetyzm? I czegoż, jeśli się spodziewamy czego, spodziewać się możemy, jeśli nie owładnięcia nim, co dla nas będzie jakoby *objawieniem*, lecz podrzędnem *Chrystusowemu* i już w *Jego* słowach zawartem!

Kończę na tem. Powiedz szczerze czy nie nudzę ciebie? Do obaczenia!

XIV.

Monachium 6 Decembra 1841 r.

Coraz bardziej się zatwierdzam w mojej teorii i myślę że taka radość serdeczna tej nowej sekty ¹⁾, taki stan błogi, nie podparty żadnym rozumowaniem treściwym, żadną dokładną wiedzą, czemże jest jeśli nie zmysłowego upojenia gatunkiem, rozlanem po nich przez siłę magne-

tyczną. Chciałbym inny wyraz wynaleść na to: bo *magnetyzm* tak mi przypomina wszystkich doktorów głupich tego świata i szlamazarne jego *somnambulki*, że mnie zraża i obraża; chciałbym takie słowo na to mieć, któreby już oznaczało *potęgę* ale *Duchowi* oddaną w zarząd, przez co słowo to byłoby *idealniejszym*. Tymczasem takiemu wpływowi zmysłowemu, dotąd czartowskiemu, nie wolno dać się opanować; należy stać wyżej nad wpływ ten, myśleć o nim jako o aniele przyszłości, a deptać po nim jako po szatanie dni teraźniejszych. Proszę cię rozpowiedz dobrze moje pojęcia *J....*: bo jeśli choć milionową częstką prawdy odgadł, niezawodnie to co ślepo działa w nim, musi się zatrząść, wzdrygnąć i do tej prawdy się poczuć; czyli musi tak uczynić jak *djabły* *exorcyzmowane*, które za rozkazem *Ducha* prawdy, precz z *człowieczych* piersi się mają.

Cóż to za sen dziki mi opowiesz? Jasnowidząca z *Provost* coś podobnego mówi o pozostaniu jeszcze na chwil kilka *Nervengeist* przy ciele po śmierci; ale ja w to nie wierzę i nie przypuszczam by *duch* tam zostawał, z kąd się oderwał dla tego, że już nie miał tam nic do czynienia więcej. W chwili zgonu zapewne już on sobie inną, lotniejszą, giętszą powłokę wyrobił i z sobą unosi, a co zostaje, wpada pod władzę powszechnej natury; to ciało martwe, już nie moje wtedy ale wszystkich *potęg* *świata*, prawdziwie panteistycznie się rozchodzi, idzie płynąć kędy fala płynie, idzie lecieć kędy wiatry leca, idzie kwitnąć kędy konwalia kwitnie, świecić kędy światło świeci! Lecz *Ja*, ja nieśmiertelny, już tam gdzieś żyję winnym stroju, w innej zmysłowości, i dla tego też w pewnych rzeczach, odwiecznymi prawami tak jak wszystko zawarowanych, widzianym, dostrzeżonym być mogę przez ludzkie serca i oczy w stosunek ze mną weszłe wtedy, zapewne w stosunek magnetyczny! Gdybym zaś fatalnie musiał przy trupie moim pewien czas jeszcze na służbie zostawać, nie byłbym panem siebie, wolnym duchem, ale sługą mniej więcej związanym do trupa, czemsiś jak ciepło, czemsiś jak stygnąca krew, jak schnący szpik. Nie, nie, temu wyobrażeniu nie folguj, bo jest zdradne, pełne fałszu, materyalne okropnie! Że zaś czasem zdarzają się *letargi*, to zupełnie do innej sfery pojęć należy. *Letarg* nie jest śmiercią, tak jak sen codzienny nie jest śmiercią, tak jak *katelepsia* nie jest śmiercią. *Śmierć* to przemiana organizacyi i stanu; kiedy *letarg* i *sen*, są tylko przypadkami lub raczej przypadkościami, w tymże stanie samym, w tejże samej ziemskiej organizacyi. To należy do życia tutejszego, jest jednym z *praw* *jego*, sposobów, któremi się odbywa to życie. Trzeba ci wiedzieć, że wszystko co jest i żyje, o tyle tylko jest i żyje, o ile wiecznie ma w sobie swoją własną *negacyą*, ale tak pojętą, że ta *negacya* nie jest jego zaprzeczeniem go znoszącem, owszem jest tylko częstką, która z niego się rodzi, stawia się naprzeciwko, uznaje się niby czem innym, wreszcie sama się znów *neguje*, to jest oświadcza że jest tem co *pierwsze* i wtedy wraca do niego, łączy się z pierwszym w trzecią potęgę! I ten bieg rzeczy jest pulsem wszelkiego istnienia! W tych kilku słowach zawarta cała metoda *Hegla*! cała *zasługa* i *prawda* *Heglowa*! Naprzykład weź *światło*. Co jego *negacyą*? *ciemność*. Ale czyż jest *ciemność* jaka, *ciemność* sama z siebie? Nie,

jest tylko mniejszy lub większy brak *światła*. *Ciemność* jest *ujemnością* tylko *światła* i takim sposobem w jego pojęciu już zawartą. Więc *ciemność*, która wysunąwszy się z *światła* postawiła się naprzeciwko niego, musi teraz sama o sobie powiedzieć *nie*; t. j. siebie jako siebie zanegować i wrócić tę *negacyą* *negacyi* do *światła*, uznać się za formę tylko *światła*. Dajmy, że pierwsze twoje wyobrażenie *światła* to +a, drugie zaś —a, czyli *ciemność*; tak cała prawda tego wyobrażenia będzie a samo, która raz może być jako *światło* widome +a, a drugi raz jako mniej *światła* —a, czyli *ciemnością*. Powiedz, *pojmujesz*? *Nieskończoność* np. ma swoją *negacyą* w *skończoności*. Ale *skończoność* czemże jak tylko wzięciem w granice *nieskończoności*; więc *skończoność* musi się uznać nie jak coś *nieprzyjacielskiego* *drugiego*, ale jak coś tożsamego *drugiego* w stosunku do *nieskończoności* i tak do niej zawrócić, i dopiero wtedy masz *całość* *nieskończoności*, która w sobie zawiera już *skończoność*, w pierwszym zaś ruchu niby stała naprzeciwko *skończoności*! Otóż tak *sen* w stosunku do *jawu*, *letarg* do *życia*, są tylko jego *negacyami* jako części jego, składające go. I *śmierć* jest tylko taką konieczną *negacyą*, która się musi sama *zanegować* t. j. uznać się częścią *życia*, tem samym co *życie*! ale co *życie* ogólne, nie co *życie* *ziemskie*. Stąd wypada, że co w *letargu* się zdarza, tego do *śmierci* stosować nie można, bo *letarg* jest, jako *sen*, jedną z form *życia* tutejszego, *śmierć* zaś jest tego *życia* *planetarnego* przemianą zupełną, a jedną z form *życia* *wszechświeckiego*, naszego *znowu*! Jeszcze ci coś powiem o *negacyi* *negacyi*, przez którą w każdej *Trójcy* drugie uznaje się być: 1-mo czem innym niż pierwsze, 2-do: tem samym, a przez ten zawrót z niem łączy się w trzeci wyraz najwyższy *całości*! Patrz na tym planecie jaka pierwsza o *Bogu* *rewelacya*? *Bóg* jest jeden, to początkowy *monoteizm*. Zaraz wychodzi z niego jego *negacya*, ludy wpadają w *politeizm*. Świat *politeizmu* wyczerpuje wszystkie możliwe zapytania, hipotezy, próbuje przez trzy tysiące lat czy też nie można *Jednego* *Boga* zaprzeczyć przez wielu *bogów*. Wiesz jak się nie udało; jak piękna *Grecya* zwiędła pragnąc tego, jak *wszechmocny* *Rzym* się rozleciał, kuszając się o to. Więc wraca *świat* do pierwszego: *Bóg* jest jeden—przez *chrześcijańskie* objawienie. Ale czyż to objawienie tylko to zawiera, tylko *Jehowę*, tylko *monoteizm* na początku dany? Nie — zawiera doskonale zlanie się *monoteizmu* z *polyteizmem*, wyobrażenie *Jedności* z wyobrażeniem *wielości* w *Bogu*: *Jeden* w *trzech* *osobach*! Zatem cóż sobie dowiodły dowodzeniem *historii* te wieki od początku planety do *Chrystusa*? To samo i jeszcze coś więcej: *Monoteizm* *zanegowany* przez *polyteizm*, który sam siebie *negując* wraca do *monoteizmu*, ale wprowadza do niego siebie i ztąd powstaje *Bóg* *chrześcijański* *Jeden* i *trzy*. To jest formuła najkrótsza, najduchowniejsza całej epoki przed *Chrystusowej*. Stanęliśmy na wstępie do naszej epoki: wiemy *Ilość* *Boga*! teraz pytanie *jaki* *Bóg* jest? *Chrześcijańskie* objawienie odpowiada na to zaraz od pierwszego dnia swego: *Bóg* jest doskonałą *zgoda* *wnętrza* i *zewnętrza*, *przyczyny* i *skutku*, *myśli* i *kształtu*, *Ojca* i *Syna*, *Stwórcy* i *stworzenia*, *Boga* i *człowieka*. *Chrystus* tę odpowiedź sam sobą wyraża: *Bóg*-*człowiek*! Ale patrz co za konieczne prawo *nega-*

¹⁾ Towianistów.

cy! Zaczyna historia chrześcijańskiej epoki natychmiast od uznania przeciwnego wyobrażenia, od rozdzielenia *Ducha od ciała, wnętrza od zewnątrz*, od potępienia materji i t. d. i t. d. Przez wieki znów próbuję czy nam się nie uda zaprzeczyć *zasady* objawienia Chrystusowego. Widomie nawet na ziemi rozdzielone części całości Bożej wcielają się w instytucje i w fakta. *Katolicyzm* staje się *ciałem praktycznym*. Idei chrześcijańskiej, protestantyzm *Duchem idealnym* i walczą krwawo przez wieki. Zupełnie ta sama historia co w pierwszej epoce świata; tylko tam szło o to: *ile jest bogów?* a tu o to: *jaki jest Bóg?* Lecz przewidujesz, że jako tam negacya musiała do pierwszego założenia zawrócić, a zwracając z nim się w coś trzeciego, szerszego, wyższego połączyć—tak i tu musi wyobrażenie, że Bóg jest oderwaniem *wnętrza od zewnątrz, myśli od kształtu*, zawrócić do zasady, że jest ich *tożsamością* owszem! A wtedy przez ten zawrót znów, przez tę *negocją-negacyi*, stworzy się owo *trzecie najwyższe prawdy chrześcijańskiej*, już tam zawarte ale ztamtąd jeszcze nie wykazane na jasni. Jeśli więc protestantyzm w tym rozpadnięciu się idej Chrystusowej, ducha, katolicyzm ciało wyraża, oczywiście muszą złączyć się razem, by dostąpić powrotu do pierwszego stanowiska, na którym powiedziano, że Bóg jest to *tożsamość ducha z ciałem*, czyli zgoda, harmonia, miłość, pokój wszechistnienia!

Więc historia wieków o nic nie pyta, jedno o Boga, niczem się nie trudni tylko Bogiem, niczego nie szuka, nie żąda i nic nie kocha tylko Boga! Ostatecznym jej wynikiem jest stopniowe rośnięcie w Nim! Wszystkie sprawy, wojny, rewolucje, upadki państw, sztuka, filozofia, polityka, same niewiedząc o tem, w to jedno biją, w tem jednym żyją, to jedno wyprowadzają z siebie i z tego jednego się rodzą. A jakaż cudowna różnorodność, nieskończona różność sposobów? jakaż wspaniała i znów nieskończona jedność *celu*? Wszystkiem, czego się tknie tylko ród człowieczy, musi nieświadomie, przykładać się do odkrycia *prawdy*. Z Boga wyszedł, idzie w Boga, do Boga zawrócił! Ale wyszedł *niewiedząc o sobie*, idzie *wiedząc o sobie*, a wróci wiedząc zarazem *o Bogu i o sobie!* Czyż i w tem cudu nie czujesz, nie widzisz znów dopełnienia tego prawa świętego *trójcowości* wszędzie, w malenioczkim zarówno jak w olbrzymim! Więc i tu z *Boga*, jako negacya, człowiek się wysuwa, przeciwstawia się *Bogu*, potem musi się sam zanegować i tem wrócić do Boga; ale wtedy będzie już i *Bóg* i *człowiek* razem, choć na początku tylko był *Bóg*.

Nigdy tego słowa *negacya* nie bierz za *zaprzeczenie* nieprzyjacielskie. Bierz w ten sposób: stoi komoda—szufladę wysuwasz, wysunięta jest negacyą komody; gdy ją napowrót zanegujesz, to jest wsuniesz do komody, tą negacyą negacyi znów otrzymasz komodę, jak na początku było, ale będziesz wiedzieć, że w komodzie są szuflady i co w szufladach, czyli będziesz znać co komoda, prawdę całą komody. Ten przykład komody całą filozofię niemiecką w sobie zawiera, całą metodę Hegla, to jest prawo, podług którego wszystko się dzieje w rozumie ludzkim.

Zanudziłem cię może—odpocznij, wytchnij, nie miej za złe. Ale musisz to wszystko zro-

zumieć, wtedy wszystkie niedorzeczne *bezwiary* w proch głupstwa rozsypać się muszą, nawet we wspomnieniu przeszłości. Do obaczenia!
(d. c. n.)

JAK BYŁO.

Jasny, jasny był mój ranek,
Siostra—piosnka, kwiat—kochanek
I maleńki brat;
Razem troje
Serce moje
Niesli w uczuć świat.

Rozpieszczone szczęsne dziecię
Znałam jasną radość w świecie
I miłości głos;
Uśmiech studił,
Smutek budził,
Tylko sierot los.

Wszystkie życia tego męki,
Łzy, rozpacz, zbrodnie, jęki
Ukochana dłoń
Zakrywała,
Bo niechciała
Ranić młodą skron.

W zgodzie żyłam z całym światem,
Každy człowiek był mi bratem,
Panem dobry Bóg,
Odtrącony
Nielubiony
Tylko prawdy wróg.

Pieśń i praca, co pociechą
Pod słomianą wiejską strzechą
I drzew starych szum,
Tajemni
Czary swemi
Niosły w kraje dum.

Fale rzeki, fale łąnow,
Kwiaty wzrosłe u kurhanów,
Jasnych gwiazdek rój,
Porywały,
Zachwycaly
Duch dziecienny mój.

A krzyż czarny, co pochyło
Nad zapadłą stał mogiłą
Wśród cmentarnych drzew,
Budził głosy,
Co w niebiosy
Płyną zlane w śpiew.

Ja kochałam.... mnie kochano....
Takie było moje rano,
Taki życia świt,
Nim z za góry
Czarne chmury
Za ziemiły szczyt.

Odtąd.... odtąd wśród przestrzeni
Pełnej smutku, grobów, cieni
Jedna gwiazdka lśni,
Jej promienie
Ślą natchnienie
Ona słońcem mi!

8 Października 1870 r.

POD KRZYŻEM.

Pod krzyżem klękam—do krzyża się tułę
Niby do matki z ufnością i czule,
Tu ból mój składam i modłę się szczerze,
A łza z westchnieniem, to moje pacierze.
Co to za śmiałość spytacie mnie może?
Śmiałość chrześcjancki co klęka w pokorze,
Ale bez trwogi bo czuje i wierzy,
Że jej Bóg takich nie broni pacierzy.
Od krzyża wracam lepsza i wzmocniona,
Nowy trud życia biorę na ramiona
Lekko i cicho, a wewnętrzne burze
Stopione w piosnkę poselaam ku górze.
Choć czczę świątynie i pańskie ołtarze,
Ale tak nigdy ducha nie rozzarzę
Jak pod krzyżykiem bez żadnej ozdoby,
Co błogosławi pola albo groby.
Widziałam kiedyś taki krzyż na polu,
Stał on pochyło wśród ziół i kąkolu
Obwity cały w dzikich bluszczów zwoje;
Pod nim to były pierwsze jęki moje...
Odtąd sierota do krzyża się tułę
Niby do matki z ufnością i czule
Otwieram serce i skarzę się szczerze,
A łza z westchnieniem, to moje pacierze.

12 Maja 1868 roku. * *

SILVA RERUM.

Jeśli ktokolwiek zwracał uwagę na stosunek między pewnymi systematami filozoficznymi, a pewnymi górującymi skłonnościami w danej chwili, niezawodnie musiał postrzedz (że się tak po modnemu wyrazimy) „dobór naturalny” między owymi systematami a owymi skłonnościami nietylko jednostek, lecz nawet całych narodów. Nie darmo pierwsi chrześcijanie, wydawszy śmiertelną walkę rozpasaniu zmysłowości, lubowali się w Platonie i neo-platonizmie, a dogorywające pogaństwo, jak starzec rozpustny tonęło w nauce Epikura, w swojego rodzaju pozytywizmie Lukrecjusza, lub co najwyżej, pośród rzezi zarządzanej przez tyranów, smakowało w krasomównym stoicyzmie Seneki, nauczyciela Nerona. Nie darmo rozerwana wewnętrznie, zubożala i zropaczona Francya, zamyslała bezprzykładne w dziejach potarganie wszelkich węzłów religijnych, społecznych i obyczajowych, rzuciła się zapamiętała do karnodziejów materializmu rozgrzeszającego wszystko z góry, a znękane przez Francję Niemcy Ignęły duszą i ciałem do filozofii Kanta, zawilej i mglistej jak mała, lecz starającej się oprzeć poczucie sprawiedliwości na niewzruszonych zasadach. Jest oczywiście związek między danymi potrzebami i dążnościami ludów, a uprawianiem przez nie gałęziami filozofii; a nietylko taka lub owaka nauka wpływa na kierunek czynności rozmiłowanego w niej ludu, lecz i owszem częściej może pewny kierunek czynności zmusza do wyboru tej lub owej doktryny filozoficznej. Filozofia bowiem, jako najrozleglejsze uogólnianie postrzeżeń i pomysłów cząstkowych, zwykle przychodzi do gotowego.

Na to postrzeżenie, jak się zdaje prawdziwe, radzibyśmy zwrócić uwagę nie tych, którzy wiedzą co czynią, ale tych, którzy nieświadomi pobudek i skutków, odurzeni szumnymi frazesami, w dobrej wierze przykładają się do szczeplenia u nas materializmu, rozpierającego się dziś w Niemczech. Ztamtąd bowiem, choć częstokroć ubocznymi drogami, przychodzi do nas ów sceptycyzm empiryczny i bezgraniczny materializm, doktryna stara i stupieszala jak zwałiska cyrków rzymskich i raweńskich, ale błyszcząca nowym tynkiem z mikroskopijnych muszelek. Ani we Francyi, gdzie Saint-Hilaire i Comte spłodzili teoryje przeobrażeń i doktry-

ne pozytywizmu, ani w Anglii, gdzie Darwin i Stuart Mill poświęcili potężny swój talent i lotną wyobraźnię na popieranie tej teorii i doktryny, nie miały one i nie mają ani takiego rozgłosu i znaczenia, ani takiego upowszechnienia jak w Niemczech, jak nawet w piśmiennictwie rosyjskiem i polskiem. Przedewszystkiem pozytywizm, a tembardziej darwinizm różni się bardzo u swego źródła od ślepego materializmu przywdziewającego ich larwę; sam Darwin wychodzi od przypuszczenia: że Bóg mógł stworzyć kilka typów pierwotnych, z których się inne rozrodziły. W Anglii pozytywizm i darwinizm nie wybiega po za granicę książek naukowych, tak samo jak nie wybiegają po za nią rozprawy o buddaizmie. We Francji zjawia się kiedy niekiedy chuda książeczka popularna o „niepodległej moralności” lub t. p.; ale jedyne piśmisko periodyczne pozytywne ledwo co dwa miesiące zdobywa się na szczupły zeszytek, w którym wiecznie jaśnieją te same imiona Littrégo i Wyrubowa. Ani w Anglii, ani we Francji, poważna prasa periodyczna nie pozwala sobie kazać się niedonoszonymi teoriami, chociaż w ostatnim z tych krajów zbyt często grzeszy sceptycyzmem i lekkomyślnem drwinkowaniem, odziedziczonym po Wolterze. Dopiero w Niemczech pozytywizm Comta, przeobrażony na grubo materializm Büchnera, oraz teoria przeobrażeń Darwin’a, zapisana w poddaństwie temu materializmowi przez Vogta i Heckela, znajdują roznamiętnionych, rzecz można, rozjuszonych popularyzatorów. Liczne zaściankowe piśmiska periodyczne, tanie broszury, odczyty wędrowne, nawet kongresy, nawet katedry uniwersyteckie oddają się na usługi nauce, która wyrzekła: wszystko sklecił przypadek, nie ma Boga, nie ma ducha, nie ma wolnej woli, nie ma zatem wyboru pomiędzy złem a dobrem, a więc nie powinno też być odpowiedzialności za czyn człowieka. Jeżeli, jak niegdyś Cuvier, jak dzisiaj Quatrefages we Francji, znakomity Virchow podniesie głos w Niemczech przeciwko darwinizmowi, to go słuchać nie chcą. Duch czasu, jedyny duch, którego się jeszcze toleruje, pędzi gdzieindziej, a ciżba uwielbia tylko tych, którzy jej instynktom schlebiają. Na ołtarzu więc uwielbienia narodowego, obok genialnego dyplomaty księcia Bismarcka, który wyrzekł, że „siła idzie przed prawem”, stanie Heckel, który na rozwinięcie tej myśli całe tomy dzieł przyrodniczych poświęcił.

Bismarck i Heckel—otoż rozwiązanie zagadki popularności darwinizmu zaprawionego materializmem, chodzącego za cudzym pasportem po Niemczech, a raczej po Prussach. Dążności polityczne prusko-niemieckie, wypowiadające się ostatnimi laty w zaborze Szweczwigu i Holstynu, Hanoweru i Hessyi, Alzacy i Lotaryngii, miliardów złota i zegarów drewnianych potrzebowały usystematyzowania, wyjaśnienia, skatychizowania, usprawiedliwienia, wysławiania. Znalazła się więc teoria, która znane od wieków zjawisko „walki o byt”, poskramianej z obowiązków siłami moralnymi w społeczeństwie ludzkim, podniosła do godności jedyne wielkiego czynnika w całej przyrodzie, a więc i w sprawach społecznych. Człowiek nie tylko cielesnie, lecz i moralnie został wyprowadzony od zwierząt — i dobrze z tem narodowi, który przy konfesyonalnej historycznym miałby sobie to i owo do zarzucenia. Ale pytamy: co skłaniać może człowieka światłego i sumiennego do propagowania tego rodzaju teorii w naszym kraju? gdzie podobieństwo położenia między Niemcami a nami? gdzie wspólność środków i celów? Niech się nad tem zastanowią, jeśli się jeszcze w zupełne poddaństwo dążnościom niemieckim nie zapisali, ci, którzy obok dowodów rozległych wiadomości, osmielają się pisać po polsku, że teoryę Darwin’a „popiera całe nasze naukowe doświadczenie”, oraz że „przyzwyczajeni jesteśmy widzieć protoplazmę w bezustannej samoistnej czynności.” Niech się zastanowią...

Spostrzeżenia i sądy ludzi, zasobnych w doświadczenie, nabyte w długiej i trudnej walce życiowej, szacowne są zawsze, — jeśli zaś ludzie tacy z doświadczeniem łączą nieskalaną prawość charakteru i rozległą a gruntowną naukę, natenczas myśli ich, wypowiedane dla pożytku współbliźnich, zyskują stokroć na wartości i prawdziwie. Meżem, który dla swego czynnego a w przygody bogatego żywota, olbrzymiej wiedzy oraz szlachetności duszy, ze wszech miar posiadał prawo nauczania innych, był znakomity historyk i myśliciel nasz — Michał Wiszniewski.

Mamy właśnie przed sobą jego „Myśli o ukształceniu siebie samego”¹⁾ dedykowane młodzieży. Do pisma tego p. Ludwik Niesiołowski, przyjaciel autora, dołączył życiorys, najobszerniejszy z ogłoszonych dotychczas i zawierający kilka nieznanych szczegółów. Dowiadujemy się z niego o stosunkach s. p. Michała z współczesnymi znakomitościami, takimi jak: Guizot, Cousin, Walter-Scott, William i inni, o współpracownictwie jego w redakcyjach czasopism: „Times”, „Edinburg Review”, „Il Diritto”, dokąd pisywał wraz z synem Adamem i hr. Cavour’em, wreszcie, o nadaniu mu przez Karola Alberta tytułu księcia i t. d.

Ogół pisma nie przedstawia całokształtu, lecz dorywczo, aforystycznie rzucone myśli, gdyż, jak objaśnia autor życiorysu, jest to tylko odłamek dzieła większej objętości, do którego plan powziął był Wiszniewski w r. 1862, a którego nie mógł wykończyć z powodu przerywającej mu pracę choroby serca, na którą umarł. Pan N. wspomina mimochodem o wielu dziełach znakomitego historyka, pozostających w rękopiśmie, których wydanie wieleby pożądanem było.

Tytuły rozdziałów dadzą poznać zawarcie dziełka. Rozdział I-szy: O czytaniu książek, II-gi O używaniu gospodarnem czasu, III-ci Jakim sposobem matematyka do ukształcenia człowieka pomaga, IV-ty Dwa razy dwa nie jest cztery, V-ty Rady w uczeniu się historii w doświadczeniu własnem czerpane, VI-ty O uformowaniu królestwa Włoskiego, VII-my Garibaldi w Sycylii, VIII-my Literacka sława i własność literacka, IX-ty Nauka handlowa potrzebna jest i zawsze była do ukształcenia człowieka, X-ty O uczeniu się języków, jak się nauczyć języka polskiego, XI-ty Filozofja, XII-ty O ukształceniu serca i ukształceniu religijnem.

W rozdziale o czytaniu książek autor ze słuszną ironiją wspomina o dziełach, traktujących etykę i o ich autorach, którzy zapominają „że w Ewangielii mamy najwyższą moralność, wyłożoną w sposób nawet dla prostaczka dostępny”. „Nacóż tu szukać — zapytuje — zasad moralności w czystym rozumie, kiedy całą moralność mamy pod ręką; abyśmy tylko chcieli raz przecie serce nasze do niej usposobić i żebyśmy w tak ważnej rzeczy nie brali łupiny za ziarno”. Piękne te słowa zasługują na szczególną uwagę ze strony tych, co negując w człowieku wolę, mozołają się mimo to nad wydoskonaleniem altruizmów, utylitaryzmów i tym podobnych zbawczych teoryjek.

Wiszniewski, autor kilku dzieł treści filozoficznej, był nieprzyjacielem tego, co ochrzczone mianem filozofii spekulacyjnej było w gruncie wychodzeniem z dowolnych formuł, mdłą gawędą w kółko — i co, jako antytezę, wywołało dzisiejszy materializm. Nie należy wszakże sądzić, iżby uzasadniona tanięchę jego względem onej domniemanej mądrości, była zarazem wyrokiem potępienia dla wszelkich dociekań prawdy w celu oryentowania się w przemianach czasów i codziennych faktów zamęcie. Bynajmniej. Myśliciel nasz potępia jedynie nadmiar miłości siebie i arrogancyją tych, którym się

zdawało, że o siłach własnych wyrwą wszelkie tajniki stworzenia; a czyni to dla wydatnienia tej wielkiej prawdy, iż historia filozofii, to smutne dzieje niepowodzeń i próżnych usiłowań rozumu ludzkiego, iż bez pomocy Boga, bez Objawienia, ułomne i nikłe pojęcie człowiecze krążyłoby nie przestało w zaklętym kole domysłów, zuchwałych acz bezzasadnych hipotez i sceptycyzmu głoszącego ponuro, jako jedyną jest prawdą, że prawdy niema wśród świata. „Żadna filozofja — mówi Wiszniewski — ani grecka, ani niemiecka, a tem mniej francuzka i szkocka nie potrafiła rozwiązać wielkich zagadnień, do których rozum — zaraz poczuwszy w sobie męskie siły — zwykle się zrywa. Rozwiązała je Religja, na tem poprzestań”.

Ostatni rozdział zawiera myśli o ukształceniu serca i ukształceniu religijnem człowieka — a napisany jest w wysokim nastroju ducha, żywo i barwnie. Czytamy tutaj między innemi: „Czego dusza twoja poddaje się wątpliwości? ażełi nie widzisz ręki Wszechmogącego, który daje i łamie wszystko na naszym świecie materialnym? Dla czego w twych cierpieniach nie westchniesz do Boga? — Czytam w twem sercu smutne myśli i troski; trzeba abyś pojał horyzont miłości, który ci Bóg daje na uspokojenie twej duszy — trzeba abyś modlitwą przygotował się na wszystkie dolegliwości i cierpienia, które cię czekają, bo jeśli twe serce nie jest przejęte pociechą inszego życia, straciłbyś owoc twych cierpień. Lepiej oddać się na usługi innych, pamiętać, że człowiek nie jest stworzony, aby żył sam, ale żeby był użyteczny drugim i nie opuszczał żadnej sposobności poratowania drugich potrzebniejszych od siebie. To ci będzie policzone w Niebie, jako największa zasługa; albowiem warto być mniej szczęśliwym na tej ziemi a szczęśliwszym w wieczności, daleko trwalszej, niż nasza doczesność, która do niczego nie prowadzi, tylko zamyka oczy egoizmem i robi ludzi podobnymi do zwierząt”.

„Myśli o ukształceniu siebie samego” jako zbiór trafnych uwag i rad znakomitego człowieka, szczerze zalecamy czytelnikom „Kroniki”.

PP. Feliks Fryze i Ignacy Chodorowicz wydali temi dniami bardzo obszerny i drobiazgowy *Przewodnik po Warszawie i jej okolicach* od Wilanowa do Jabłonnej. Znajdujemy w nim najróżnorodniejsze informacje, dość często opatrzone trafными uwagami krytycznymi, o wszystkich sferach działalności urzędowej, towarzyskiej, naukowej, artystycznej, przemysłowej, handlowej i t. p. Wydawcy jako współpracownicy *Kuryera Warszawskiego*, pisma dla własnej potrzeby gromadzącego od lat wielu wiadomości o Warszawie, sami przytem z powołania koniecznie obowiązani znać miasto, lepiej niżeli ktokolwiek inny mogli się wywiązać z zadania. Pomoc p. F. M. Sobieszczańskiego, pracownika historyka Warszawy, oraz p. W. Szymanowskiego, niezmordowanego kronikarza bieżącego żywota, bardzo się też przyczyniła do podniesienia wartości książki.

Do szczupłej liczby niezbyt wybitnych osobistości, pracujących w widokach oddziaływania na publiczność ze sceny teatralnej, przybył niepoprzedzany żadnym odgłosem sławy p. Kajetan Kraszewski. Nie wiemy czy pan Kraszewski kiedykolwiek, chociażby w kole najbliższych znajomych, przy nanieconym kominku, popisował się ze swoim dramatycznym talentem i jego płodami. To pewna, żeśmy dotąd nie widzieli go w druku, i wielu w zeszyły wtorek wyczytały jego nazwisko na afiszu teatralnym pana Texla „Eldorado”, brało go za innego Kraszewskiego z symbolicznym predykatem „J. I.” Tymczasem wyobraźcie sobie zdziwienie tych, którzy dostrzegli różnicę na afiszu, a na scenie najniespodziewaniej zobaczyli niemało ruchu i życia, obficie dowcipu, nieskąpo zdrowego sądu o naszych gorączeczkach towarzyskich, a nade-

¹⁾ Michała Wiszniewskiego Myśli o ukształceniu siebie samego. Dzieło pośmiertne z portretem i życiorysem autora, skróconym przez Ludwika Niesiołowskiego. Warszawa, 1873 roku. 60 kop.

wszystko niepospolite wyrobienie wiersza, tudzież płynność dyalogów najczęściej pełnych dramatycznej prostoty i swobody. Nie potrzeba być samemu wierszopisem, żeby odgadnąć, iż *Kapłanka idei* jest nie pierwszym utworem p. K. Kraszewskiego, że może nawet kilka jej poprzedników bojaźliwie ukrywa się w tece. Cóżkolwiek bądź, autor dosyć już wprawna ręką dolał świeżej oliwy do ognia emancypacji kobiet z punktu obyczajów amerykańskich, o których najwięcej rozprawiają ci, co najmniej o nich mają choćby przelotnych wiadomości. Konfuzya była wielką, niektóre słówka trafiły w cel jak kula stożkowa z broni gwintowanej. Wcałebymy nie ręczyli, że legion emancypacyjny płci obojej nie weźmie za to autora na zęby. Co do nas, jedno tylko mamy do zarzucenia *Kapłanki Idei*: jest to sztuczka nie trzech, lecz jedno-aktowa, niepotrzebnie przedzielona aktami. Złączywszy te akciki w jeden duży, za pomocą niewielkich zmian w ekspozycji, niby się wcale nie straciło, a utwór jeszczeby zyskał na żywości.

Kościół wojujący materjalizmu otrzymał kilka szczegółów, które uważać gotów za bardzo dobitne argumenta mówiące na jego stronę. Oto w jaskini pod Ojcowem poszukiwania prowadzone przez pana Jana Zawiszę, dały odkryć mnóstwo kości tak zwanych zwierząt przedpotopowych, oraz narzędzi kamiennych i kościanych. Nuż tedy cieszyć się, że mamy swoich *własnych* troglodytów i trafiliśmy wreszcie na drogę udowodnienia pokrewieństwa człowieka z małpą! Tymczasem Bogiem a prawdą pociecha z tego wypadku niezbyt wielka: p. Zawisza oddał niezaprzeczoną usługę nauce, lecz takie odkrycia już się niejednokrotnie ponawiały w Ojcowie i dawno przestały być osobliwością; a wszelkie znane dotychczas wykopaliska tak u nas jak za granicą, świadczą przeciwko teorii Darwina i materjalistom gruntującym na niej gmach swojej nauki. Znajdowane dotąd kości małpie i ludzkie, okazują taką samą różnicę w budowie tych dwojga istot, jaką widzimy dzisiaj. Nie znaleziono ani jednej kosteczki, ani jednego jej ułamka, mogącego przemawiać za istnieniem ogniw pośrednich między dwurekim człowiekiem a czwororęką małpą. Tembardziej prostem niepodobieństwem było znaleźć dowody pochwyconego nauczynku przerażenia się małpiej, istoty w ludzką. Co większa, gdziekolwiek znaleziono ślady człowieka, zawsze tam znaleziono ślady jego ducha tęskniącego do niebieskiej ojezyny. W najstarożytniejszym zabytku, w owym szlifowanym młotku kamiennym towarzyszącym w podziemiach człowiekowi przedhistorycznemu, wdzięczna symetria kształtów nie znająca nic sobie podobnego w naturze, świadczy o poczuciu piękna. Wyroby z kości, brązu, złota i srebra, jakkolwiek dla dzisiejszego oka niezgrabne, jeszcze wybitniej dowodzą wrodzonej człowiekowi tęsknoty do ideału, doskonałości, której niema w pojedynczo branych ułamkowych tworach ziemskich. Ciała zmarłych grzebano przed wiekami ze czcią w grotach zacisznych, w grobach kamieniami wkładanych, w wysoko sypanych mogiłach. Pogrzeby odbywały się z obrzędami: w grobach pewnej klasy szkielety zawsze leżą jednakowo, urny z popiołami jednakowo się ustawiają, przy jednych i drugich znajdują się pamiątki, pewno rzeczy najdroższe w rodzinie. Dowód to niezaprzeczonej wiary w żywot po zgonie cielesnym i w przyszłe spotkanie się ze zmarłymi. Nie wiemy jaka jest dawność tak zwanych grobów kamiennych; jedni liczą im ledwo kilka, drudzy kilkanaście, kilkadziesiąt, bodaj setki tysięcy lat istnienia. Atoli spoczywają w nich ludzie, którzy tak samo jak my wiedli żywot cielesny i duchowy, choć w inne formy ujęty. Powoływano się materjalistów na to, że starsze pomniki zaginęły, można porównać chyba z argumentacją owych dawnych piniaczy, którzy brak dokumentów zwalili na wojny z Turkiem i Szwedem, na pożary i powódzie. W tym względzie godzi się być

„pozytywistą” i nie gniewać się na innych, jeśli żądają „pozytywnych” dowodów.

KORRESPONDENCYA.

Petersburg, 21 Lipca 2 (Sierpnia) 1873 roku.

IV.

Opery: włoska i ruska. — Teatra: ruski, francuzki i niemiecki. — Balet. — Koncerta.

Obecna pora roku, gdy znaczna część stołecznej ludności, chroniąc się przed zaduchem i skwarem, za miastem przemieszkują a działalność teatrów doszła do swego *minimum*, najważniejszą do korespondencji jest zdaniem sprawy z ubiegłego teatralnego roku, który od jesieni zwykle się zaczyna.

Opera włoska, przez 4½ miesięczny czas swego trwania, dała 102 przedstawień, ograniczając się 24-ma utworami następujących dzieł kompozytorów: *Majerbeera*: Hugonoci, Robert Djabel i Dinora; *Rossiniego*: Wilhelm Tell, Cyrulik Sewilski, Otello i Sroka Złodziej; *Belliniego*: Purytanie i Lunatyczka; *Verdiego*: Trawiata, Rigoletto i Bal maskowy; *Donicettiego*: Łucya, Faworyta, Linda i Napój miłosny; *Obera*: Fra-Diavolo i Fenella; *Gounoda*: Faust, Romeo i Julja; *Toma*: Hamlet i Minjona, *nakoniec Flotowa*: Marta. Jedna tylko opera „Hamlet”, należąca do najsłabszych utworów Toma, przedstawiona była na tutejszej scenie po raz pierwszy; wszystkie zaś inne oddawna już Petersburgskiej publiczności są znane. Nie utwoży więc, ale talenta wykonawców skupiły w sobie całe zajęcia ogółu. Osm śpiewaczek i dzieł w śpiewaków solowych, którym pierwsze polecono role, tyleż artystów dla ról drugorzędnych, chór złożony z dziewięćdziesięciu dobrze wyćwiczonych głosów i doskonała, pod przewodnictwem dwóch dyrektorów, orkiestra — były to liczne wykonawcze zasoby, usławienione talentami dwóch tegoczesnych znakomitości: pani *Adeliny Patti* (Margrabiny de Caux) i *Krystyny Nilson* (Ruzo), których imiona, na całym muzycznym świecie, jasnieją promieniem powszechnie uznanej sławy.

Możnaby sporą bibliotekę założyć z ogłoszonych drukiem, w różnych Europejskich państwach, artykułów o fenomenalnym głosie Patti, stanowiącym zadziwiający i może niebywałe dotąd zjawisko natury. Niema więc żadnej potrzeby powtarzania tu dobrze wiadomych wszystkim opisów, tembardziej, że w Nrze 15 „Kroniki Rodzinnej” z roku 1872 zamieściłem i własne o tej artystce wspomnienie. Obecnie dodam tylko, że cała skala przeslicznego jej głosu zachowała dawny swój wdzięk i urok, a średnie nuty jeszcze więcej się wzmoctyły. W rolach: *Dinory*, *Lunatyczki* i *Julii* miała szczególniejsze powodzenie; bo też w istocie, komu choć raz w życiu udało się słyszeć zachwycającą Patti w którejjbydz z ról wyżej wymienionych, ten już nigdy doznanego wrażenia nie zapomni. Zresztą w każdej roli przyjmowaną ona była od publiczności z jednomyślnym zapałem. W dzień benefisu, oprócz wielkiej ilości kwiatów, ofiarowano jej brylantowy diadem, a przy pożegnaniu wystąpieniu — około dwóch tysięcy bukietów, wianków i koszów z kwiatami. Jakkolwiek fakt ten świadczy o szczególnem uwielbieniu, jakie artystka u publiczności potrafiła pozyskać, niepodobna jednak pochwalić takiego, połączonego z beużyteczną rozrzutnością, sposobu wyrażania uczuć; w zimowej bowiem porze, taka ilość kwiatów nie mało tysięcy rubli kosztuje. W Moskwie, dokąd Patti na kilka gościnnych wystąpień jeździła, ofiarowano jej od publiczności brylantową gwiazdę wartości 12000 rs. Dla okazania wpływu, jaki wywarła Patti na powodzenie w Petersburgu opery włoskiej, dosyć powiedzieć, że od czasu jak występuje ona na tutejszej scenie, t. j. od roku 1868, liczba abonamentów została podwójoną: dawniej dawano po trzy, od jesieni zaś po sześć przedstawień w tygodniu odbywać się bę-

dzie, pomimo to wiele jeszcze żądań zaspokoić nie zdołano.

Pani *Krystyna Nilson*, rodem Szwedka, doszła do dzisiejszej sławy po bardzo ciernistej drodze. W łachmanach, ze skrzypcami w rękę obchodziła ona niegdyś ulice rodzinnego miasteczka, śpiewając pod oknami dobroczynnych mieszkańców; gdy naraz jakiś nauczyciel muzyki, zwróciwszy uwagę na głos biednej dziewczki, zajął się jej wychowaniem. Po kilku latach, uliczna przedtem śpiewaczka występowała w operze Paryżkiej z olbrzymim powodzeniem. Zjednaawszy sobie wkrótce Europejską sławę, pojechała do Ameryki, gdzie obok laurów, zdobyła milionowy majątek. Szukając następnie nieczęstych tytułów, lecz rodzinnego tylko szczęścia, poszła za popędem serca i za powrotem do Europy zaślubiła w roku 1872, p. Ruzo, maklera przy Paryżkiej giełdzie. W 1873 teatralnym roku, pani Nilson poraz pierwszy na Petersburgskiej scenie występowała. Głos jej, soprano wysokie, nie ma wprawdzie tej metalicznej siły dźwięku, tej świetności, czystości i łatwości w ruladach, którymi tak się wyróżnia nieporównana Patti; natomiast jednak, śpiew Szwedzkiej artystki nacechowany jest takim spokojem i poetyczną, pociągającą ku sobie tęsknotą (zwłaszcza w *pianissimo* i *morrendo*, oddawanych przez nią w szczególniejszy sposób), z taką doskonałością i prawdą wydatnością najdelikatniejsze dramatyczne odcienia, odkrywając wszystkie tajniki duszy przedstawianej bohaterki, że pod tym względem, we właściwych swemu talentowi rolach (*Małgorzaty* w „Fauście”, *Ofelii* w „Hamlecie”, *Minjony* w operze tegoż nazwania i t. p.) pani Nilson doszła do szczytu doskonałości. Publiczność przyjmowała ją z wielkiem uniesieniem, a w dzień benefisu urządziła cały szereg owacyj, które, jako charakteryzujące tutejszych miłośników muzyki, zasługują na krótkie wspomnienie. Oprócz wielkiej ilości bukietów, ofiarowano jej: szmaragdowe z dużymi brylantami kolczyki, laurowy ze złota wieniec i list, stwierdzony podpisem tysiąca osób, z wyrażeniem ubolewania z powodu rychłego odjazdu artystki a nadziei prędkiego jej powrotu; do listu dołączył był złoty pierścionek z brylantową Izą. Po skończeniu przedstawienia, najzapałeńsi z wielbicieli śpiewaczki ponieśli ją do pojazdu na własnych barkach; gdy zaś stanęła przy dolnych drzwiach swego mieszkania, kilkadziesiąt osób z pochodniami spotkało i wprowadziło ją, przy odgłosie muzyki, na rzęsto oświetlone i w kwiaty przyozdobione wschody.

Trzecia *prima-donna* pani *Matylda Mallinger* (Baronowa Szimelfening) łączy w sobie wiele warunków niezbędnych dla dobrego wykonania rol tragicznych: mocny, świeży i przyjemny głos sopranowy, oraz energiczną deklamacyą. Żałować tylko należy że gra jej często przesadą i jednostajnością ruchów. Większem jednak od pani Mallinger powodzeniem cieszyły się wysoko utalentowane śpiewaczki-soprano, panie: *Eliza Volpini* i *Ilma Murska*, oraz kontralto panna *Zofia Skalki*, zaś panie *Ferucci* i *Duval*, chociaż daleko ustępują wyżej wymienionym artystkom, mogą jednak być zaliczone do rzędu śpiewaczek użytecznych.

Skład śpiewaków był daleko mniej doborowym. Mielismy wprawdzie aż czterech pierwszych tenorów, ale żaden z nich nie zadowolnił w zupełności wymagań ogółu. P. *Nikolini*, *Norden* i *Gordoni* — znakomici niegdyś śpiewacy, dziś gonią resztkami swego głosu. Pierwsi dwaj, w niektórych rolach, zdołali jednak obudzić ku sobie wielkie zajęcia publiczności, co dowodzi że umiejętność i sztuka z naturą nawet walczyć mogą. Pan *Marini*, młody i wiele obiecujący ale jeszcze nie doświadczony i nieobyty ze sceną artysta, głosem i postawą bardzo przypomina słynnego Tamberlika, którego przez lat wiele uważano tu za ideał tenorów dramatycznych. Z barytonów, p. *Kotoni* posiada głos świeży i przyjemny, zaś p. p. *Graciani* i *Everardi* dawni ulubieńcy publiczności, przy zużyte,

już głosie, zachowali tylko doskonałą metodę śpiewu i znajomość sceny; наконец p. *Baga-dziolo*, basso głębokie i p. *Cziampi*, — basso komiczne, kończą szereg zaproszonych na pierwsze role artystów. Chóry i orkiestra zadowolająco wywiązały się ze swego zadania. Orkiestrze przewodniczyło dwóch dyrektorów: pan *Bévimani* zamówiony był dla tych oper, w których śpiewała pani Pati, zaś pan *Bożni*, dla oper, w których występowała pani Nilson.

Opera ruska przedstawiła zaledwie 14 utworów, z których tylko 6 ruskich: *Glinki* Rustana i Ludmiłę i *Życie* za Cara, *Sierowa* Moc szatańska, *Dargomyżskiego* Rusałkę i Statuę Komandora i *Rzymskiego-Korsakowa* Pskowiankę. Oprócz tego, dawano w ruskim przekładzie *Halkę Moniuszki* i kilka oper kompozytorów włoskich, francuzkich i niemieckich jakoto: *Mozarta* Don-Żuana, *Rossiniego* Wilhelma Tella, *Webera* Freuschütza, *Wagnera* Loengrina, *Gunoda* Fausta, *Obera* Fra-Diavolo i *Verdiego* Tra-wiatę. Szczupły ten repertuar, jak również bardzo mierny skład artystów, świadczą o niepomysłnym stanie opery narodowej w stolicy. Ze śpiewaczek jedną tylko pannę *Lewickę* (soprano wysokie) i po części panią *Raab* (soprano) z przyjemnością można było słuchać; z mężczyzn p. p. *Komiszarzewski* (tenor), *Mielnikow* (baryton) i *Paleczek* (bas), wyróżnili się od innych. Orkiestrą kierował p. *Narawnik* (rodem Czech), umiejętnością swą i pracowitością o wiele przewyższający wszystkich tutejszych dyrektorów orkiestry. Po raz pierwszy przedstawione były dwie opery: *Moc szatańska* i *Pskowianka*, oraz sceny z opery *Borys Godunow*. *Moc szatańska*, ostatni utwór wielce utalentowanego i przedewczesnie zgasłego ruskiego kompozytora *Sierowa*, chociaż ustępuje dawniejszym jego operom: *Judycie* i *Rogniedzie*, ma jednak wielką zaletę oryginalności. Wszystkie melodie, rytm i sama treść nacechowane są duchem narodowym. P. *Rzymski-Korsakow*, autor kilku ładnych i umiejętnie instrumentowanych symfonicznych utworów (*Sadko*, *Antar* i innych) nie był tyle szczęśliwym w operze swęj *Pskowiance*, składającej się z samych prawie *recitatywów* i obfitującej w zbyt wyszukane rozdźwięki tonów (dissonances). Jeden tylko duet w 1-m akcie i kilka ładnych chórów stanowią wyjątek. Przedstawienie trzech scen z opery *Borys Godunow* odkryło niepospolite zdolności kompozytorskie p. *Musorgskiego*, który pomimo dość szczupłej znajomości prawideł harmonii i kontrpunktu, jedynie potęgą swego talentu zwrócił na ten ostatni utwór powszechną uwagę.

Teatr ruski dramatyczny przedstawił ośm nowych sztuk oryginalnych, pp. *Ostrowskiego*, *Averkiewa*, *Palma*, *Pogoskiego*, *Aleksandrowa*, *Soffina*, Hr. *Sologuba* i *Fiodorowa*. Dawano tu i „*Epidemię*” *Narzymkiego* w ruskim przerobieniu, bez szczególnego jednak powodzenia; zato tłumaczone z francuzkiego operetki *Offenbacha*, *Lekoka* i spółki, miały zawsze chętnych widzów w liczbie dostatecznej. Z pomiędzy artystów, zwrócili na siebie szczególną uwagę publiczności pp. *Samojłow* i *Wasiliew*, których wielostronne talenty mogłyby być ozdobą każdej Europejskiej sceny, oraz bardzo uzdolnieni pp. *Czerniawski*, *Karatygin*, *Burdin*, *Monachow*, *Zubrow*, *Sazonow* i *Winogradow*. Brak dobrych artystek w każdej sztuce się objawiał; panie: *Zulewa*, *Jablóczkina*, *Strujka*, *Czerniawska*, i *Gromowa*, w niektórych tylko rolach były zadowolające.

Francuzka trupa obfitowała w wielkie talenty. Imiona pań: *Pasqui*, *Delaport*, *Naptal*, *Lagrange*, panów: *Dupuis* i *Renard* zaszczytnie są znane w wielu stolicach. Największe powodzenie miały dramata: *Le Centenaire par Dennery et Plowier*, oraz *Le drame de la rue de la Paix par A. Belot*. Oprócz tego utwory *Dumasów* ojca i syna stanowiły podstawę repertuaru często wątpliwej wartości. W trupie niemieckiej, oprócz słynnej panny *Buski* i nieporównanych artystów pp. *Cymmermana*, *Fon-Filica* i *Kesslera* dawały się widzieć same miernoty. Wiosną tyl-

ko występowała w operetkach znana artystka panna *Mila Reder*, odznaczająca się przyjemnym głosem i szczęśliwą powierzchownością. Za to w repertoarze jaśniały imiona *Szekspira*, *Szylera* i *Getego*.

O balecie niewiele jest do powiedzenia. Pomimo niepospolitego talentu pań: *Grancowej*, *Wazem* i innych baletniczek, oraz znacznej liczby uzdolnionych tancerzy i tancerek, ten rodzaj widowiska coraz mniej ściąga publiczności. Wogóle przedstawiono dziesięć tylko baletów, z przepychem nieporównanym.

Skończywszy pobieżnie teatralne sprawozdanie, dopełnię go wspomnieniem o dawanych tu w roku bieżącym koncertach. Nielicząc artystów opery włoskiej, którzy w kilku koncertach występowali, największe zajęcie ogółu obudzili: ze śpiewaczek — panie: *Lawrowska* i *Falkman*; z wiolonczelistów — pp. *Dawydow* i *Zeifert*; z waltornistów — pp. *Wurm* i *Lewi*; z fortepianistów — pp. *Rubinsztejn* *Mikołaj*, *Leszetycki*, *Hartwigson*, *Kross* i panna *Jesipowa*, która pod względem zrozumienia ducha utworów i udoskonalenia technicznej strony talentu przewyższyła, oprócz *Rubinszteina*, wszystkich innych wymienionych wyżej artystów, nie wyłączając i nauczyciela swego p. *Leszetyckiego*.

Koncerta towarzystwa Muzycznego, koncertowego i filharmonijnego, oraz wieczory symfoniczne Konserwatorium były zawsze przepelnione słuchaczami. Koncert dany na korzyść inwalidów przez połączone wszystkie tutejsze orkiestry wojskowe, pod kierunkiem p. *Wurma*, zwrócił na siebie uwagę olbrzymią liczbą wykonawców: było ich 1250, z których 480 śpiewaków (mężkie tylko głosy) i 770 muzykantów (instrumenta dęte). Taką ogromną masę dźwięków, w zgodnym wykonaniu utworów muzycznych, sprawia wielkie wrażenie. Ze współczuciem przyjęty był także koncert dany przez orkiestrę uformowaną z wychowañców Instytutu Ociemniałych, pod przewodnictwem p. *Miteza*. Utwory *Beethowena*, *Bacha*, *Hendla*, *Haydna*, *Szopena*, *Szuberta*, *Webera*, *Szuma-na*, *Litolfa*, *Mendelsohna* i *Liszta* stanowiły osnowę większej części koncertów. W muzyce klasycznej publiczność coraz bardziej się rozmiękuje; łatwo jednak zauważyć że koncerta, w których przeważną stroną stanowiła muzyka głosowa, nierównie więcej zgromadzały słuchaczy niż wieczory muzyczne, na których część instrumentalna główną grała rolę. I to bardzo naturalnie. Jakież bowiem instrument może iść w porównanie z głosem ludzkim?

Naznaczanie zbyt wysokich cen za miejsca na koncerta oraz na benefisa ulubionych artystów dramatycznych stało się tu rzeczą zwyczajną. Nie tyle w imieszuki, ile ze względu na wszechwładną modę — gdy o talencie jakiegoś artysty wszędzie szeroko rozprawiają — przedstawiciele tak zwanego *dobrego tonu* szemrzą, ale płacą po kilkadziesiąt rubli za łożę, po kilkanaście za krzesła.

Podąło to powód jednemu z tutejszych pism satyrycznych do zamieszczenia w swych szpaltach bardzo zgodnej z rzeczywistością karykatury. Przed kasą teatralną stoi jakiś modniś i zapytuje o cenę biletów na miejsca w pierwszym rzędzie krzeseł, na benefis jednego z ulubionych artystów.

— 25 rs — odpowiada kassyer.

— I są głupcy, którzy tyle płacą! — z oburzeniem pyta przybyły.

— Kilka zaledwie biletów do sprzedania pozostało.

— W takim razie... proszę o bilet i dla mnie.

Przyznać jednak należy, że tylko szczęśliwym ulubieńcom publiczności udaje się wyciągać z kieszeni swych protektorów tak znaczne dowody przychylności; artyści zaś nieposiadający społecznego ogółu często bywają karani za swą zarozumiałość. Nieraz się zdarza, że ogłoszone przez afisze koncerta, jedynie dla braku słuchaczy, do skutku nie przychodzą.

Artur Dolński.

DZIENNIK PODRÓŻY PO NIEMNIE:

PRZEZ

Zygmunta Glogera.

(Dalszy ciąg).

D. 9 Czerwca. Rano poszliśmy najpierw do kościoła, wzniesionego tu z cegły przed 20-u laty. Po modlitwie i pożegnaniu z zacnym panem Janem Pileckim, puściłem się dalej pomimo Niedzieli, bo komu w drogę temu czas, a my nie mieliśmy czasu do stracenia, zamierzając się ścignąć na Zielone Świątki do Wilna.

Na krawędzi wyniosłego brzegu, naprzeciw spacerowego sosnowego lasu, znalazłem ślady pobytu człowieka w czasach użytku krzemienia. Obok okrzesków i wiorów krzemienych, trafiłem na kilka takichże narzędzi, między którymi był ostry i mocny kolec i przedziwnej roboty bełt, czyli strzała trójkątna, oraz kawałek ogladzony belemnitu do uwiązania zastosowany może jako ozdoba lub amulet. Wśród tych przedmiotów były szczątki kości i ułamek ozdobnego glinianego naczynia. Jakis przechodzień przyglądając się ciekawie moim poszukiwaniom, zapytał, co zgubiłem na tym piasku? gdy odpowiedziałem mu, że tego szukam czego nie zgubiłem, i to mówiąc, wygrzebaną skorupę schowałem do kieszeni, roześmiał się do swego towarzysza i odszedł z widocznym przekonaniem, że zaczął kandydata do czubków. A jednak ten lichy kawałek gliny, ta pogardzona i deptana „skorupa” niejedno powiedziec może, gdy będziemy umieli ją badać. Kształt naczynia, z którego pochodzi, stosował się do potrzeb, jakie mieli jego twórcy; glina mieszana z tłuczonym granitem i rodzaj jej wypalenia jest obrazem stopnia, na jakim sztuka ówczesnej ceramiki zostawała. Ozdoby na tym czerapie, to cząstka myśli ich twórców, bo ich ręka była narzędziem ducha; to owo wyłączone piętno duszy ludzkiej, które zwiemy poczuciem piękną, piętno, które wyróżnia człowieka od zwierząt już od samej kolebki jego rodu. W czasach, gdy barbarzyński mieszkawiec dzikich puszcz sposobem życia mało różnił się od zwierząt, wyciska on już znamię ozdoby na glinianym garnku, zaokrągła kształt krzemienego narzędzia, choć nie wymaga tego praktyczna strona tych przedmiotów. Czyż prawnik goryla lub orangutana, z trudem zdobywający sobie żywność, walczący z żywiołami i potężnym światem zwierzęcym, marzyłby o podobnych rzeczach, gdyby nie ta iskra w duchu człowieka wlana przez Stwórcę u kolebki?

Z miejsca starożytnej sadyby roztacza się piękny widok na Druskieniki leżące na przeciwnym znacznym niższym brzegu. Widok ten ołówkiem mało udolnym do oddania wdzięków natury, przeniosłem do mego pamiętnika, gdzie wkrótce pomieściłem inny przedstawiający z pobliskiej wyniosłości zakręt Niemna i bór ciągnący się ku Mizerom. Szkoda że s. p. Michał Kulesza, podając w swojej „Tece” widok Druskienik, nie zdjął go z punktu tych wzgórz, na których znalazłem starożytne siedliska.

Przeszło o tysiąc kroków od śladów owej siedziby, napotkałem także na lewym brzegu, ale już poniżej Janopola, inną z tej samej epoki. Znalazłem tu okruchy przepalonej gliny, kilka węgli i drobnych ułamków naczyń. Znalezione przedmioty krzemienne każą mniemać, że jakiś dawny mieszkawiec tego siedliska celował w niełatwym zapewne wyrabianiu płaskich, wązkich i prostych o jednym ostrym boku krzemyków, którymi nakładano fugowane brzegi kościanych grotów lub pocisków, nadając tym sposobem twardsze od kości ostrza tej broni. Nie wiedziałbym do czego służyły te krzemiki, gdyby nie grot znaleziony w Maryampolskiem na Litwie, który oglądałem w pi-knym zbiorze starożytności prof. Paw. Bel. Podczaszyńskiego w Warszawie. Jest więc dowód, że powyższa broń kościana była współ-

czesna osadom, na jakich ślady trafłem. Tak na prawym brzegu na polach Druskienik, jak o ćwierć mili poniżej (niedaleko za wodnym młynkiem), znalazłem także ślady pobytu przedhistorycznego człowieka i siedzib, które z powyższymi otaczały niby jako przysiółki wielką osadę ciągnącą się niegdyś na znacznej przestrzeni piasków lewego brzegu od wsi Bałtoszyszek, w stronę Gajlun. W miejscach tej wielkiej osady, znalazłem w pokładach piasku oprócz wielu różnych szczątków i śladów licznych ognisk i mnóstwa czerepów z wielkich, grubych starożytnych naczyń, bardzo znaczną ilość krzemiennych wiorów i kilkadziesiąt pięknych, ciekawych, bo mało znanych narzędzi różnego kształtu. Jeżeli niektóre swym uderzaniem podobieństwem do nożów, kołców skrobaczek, dłótek, strzał i piłek, każą domyślać się swego zastosowania, to przeznaczenie innych jest zupełnie zagadkowe. Lecz gdzież są, pytałem siebie, narzędzia, którymi tak przedziwnie obrabiano te przedmioty? Otoż mniemam, że niektóre z nich służyć do tego mogły, może nawet pewny rodzaj tak zwanych drapaczów (*racloir*), o mocnych ostrzach pod kątem prostym. Przy robocie narzędzia te (do dłótek podobne) uderzano, albo silnie naciskano po przyłożeniu do stosownego miejsca *rdzenia*, lub odłupanego już krzemyka zostającego na warsztacie. Hiszpani, zdobywając Meksyk, widzieli wyrabiane w podobny sposób przez pierwotnych mieszkańców narzędzia z obsydyanu, co Eskimosi dotąd praktykują. Wprawa znaczy tutaj tak wiele, że to, co się nam zdaje rzeczą arcy trudną i mozolną do wykonania, nie było taką w istocie. W każdym razie pracowitość owych ludów pod niebem północy była niezaprzeczenie wielką. Walczyć tu trzeba było, powiada Kraszewski, z naturą otaczającą i zdobywać na niej wszystko: okrycie, jadło, napój, spokój. Walczyć ze zwierzem, walczyć z chłodem, walczyć z wodą, z niedostatkiem wszystkiego; zdobywać nieustannie, bez spoczynku. Spoczynek wiódł za sobą straszną *Giltine*, śmierć.

O ile nad Wisłą znalezione wiele bełtów krzemiennych w stosunku do innych przedmiotów, o tyle tutaj przeciwnie, bo wśród znakomitej ilości narzędzi pod Bałtoszyszkami znalazłem tylko jeden trójkatny bełt równie pięknej roboty, jak ten z pod Druskienik. Trudno przypuścić, aby z tak pospolitego materiału jak krzemień, a przytem twardego i łatwo przybierającego tylko niektóre kształty zgodne z właściwym mu rodzajem lupania się, robiono jakie ozdoby lub amulety. Znalazłem jednak dwa płaskie krzemyki, z których jeden ma kształt liścia dębowego, a drugi zdziałanego bardzo zręcznie serca lub gruszki. Tylko pierwszy może być przypadkowym, lecz drugi, jeżeli rzeczywiście oznacza serce, to wskazuje, że ludzie owocześni nie musieli być tak dzicy, gdy już znali podobne symbole. Lotne piaski nawiane ze wzgórz pobliskich, zasady większą część tych starożytnych siedlisk, przechowując tym sposobem plony dla wielu następnych badaczy, którym drogę przypadło mi tutaj w udziale pokazać.

O ćwierć mili poniżej tej największej jaką dotąd znalazłem osady, dostrzegłem niedaleko wsi Gajlun na prawym brzegu ślady innej, ale niewielkiej i ubogiej w zabytki. Natomiast dość bogatą odkryłem poniżej Gajlun na lewym brzegu w piaskach zwanych Nosouciszki, gdzie między licznymi narzędziami z krzemienia, znalazłem osobliwszej roboty małeńki obosieczny nożyk, a może i bełt z trzonkiem, czyli piętkę tak cienką jak słoma, a długą blisko pół cala, tudzież inny z takimże trzonkiem podobny do listka, co przypomina ową przypowieść o Indyanań, którzy jako wzór strzał żelaznych przynieśli kowalowi liść. Znalazłem także ułamek kamiennego młotka z wydrążonym otworem, bardzo ze wszech stron starty, zdaje się na leki; lud bowiem litewski wierzy w lekarskie własności podobnych przedmiotów, równie

jak wielkopolski, który ma nawet wyrażenie: „utrzeć kamyczka dla chorego.” Pomnażanie się coraz nowych zabytków, którymi napełniłem już wszystkie posiadane puzderka, kieszenie i tłomoczek, zaczęło teraz dla braku miejsca prawdziwie mnie kłopotać. Nie zawsze więc od przybytku głowa nie boli, przynajmniej archeologowie bywają w takim położeniu.

Między Gajlunami a miejscem starożytnej osady ciągnie się równoległy z brzegiem rzeki, ale nieregularny rząd kamieni pozostałych bądź po grobach, bądź po mieszkaniach i ogniskach przedwiecznych. Niektóre przedstawiają dotąd pewny symetryczny porządek, i tych odrysować nie omieszkalem. Osadę powyższą jeszcze w roku zeszłym odkryłem nad Niemnem, co stało się główną przyczyną całej tegorocznej podróży. Było to jak wyżej nadmieniałem we Wrześniu, gdy przybywszy do Druskienik dla robienia poszukiwań na brzegach Niemna, udałem się do Liskowa na czajce, którą najalem wraz z dwoma przewoźnikami, zwanymi po litewsku *perewaznikas*, *perewezejas*, (Strusdasem i Antonowiczem) z Janopola. Kamienie sterzące tu wśród wydm piaszczystych zwróciły z daleka na siebie moją uwagę, a przybywszy na to miejsce, znalazłem i zacząłem zbierać tułające się wśród piasków przedmioty starożytne. Noc przeszkodziła wkrótce moim poszukiwaniom, byłem zaś tak pełen archeologicznej gorączki, że gdybym miał byłz soba łatanym pewnym do Druskienik nie wracał. Z niecierpliwością więc oczekiwałem jutra, aby jak najprędzej wyruszyć do ciekawego miejsca. W dniu tym na lewym brzegu Niemna obchodzono jakieś uroczyste święto, gdy przywieziony przez najętego żydka, kazałem mu także pomagać sobie w odszukiwaniu krzemiennych zabytków. Prawdę jednak mówi przysłówie: *że cudze ręce lekkie ale nieużyteczne*, bo mój improvizowany z biczem i pejsami kolega, nabierał w czasie mojej nieobecności pełny wóz krzemieni i kamieni, które później wyrzucać musiałem, lud zaś spieszący w tym czasie do kościoła liskowskiego, widząc mnie zajętego z żydem w święto, nawet nie odpowiadał na moje pobożne pozdrowienia.

Nie umiem odpowiedzieć na pytanie, jaka przyczyna ściągnęła w te strony gęstszą niż gdzieindziej ludność, w czasach użytku krzemienia, i dla czego ludność ta, sądząc po ilości pozostałych zabytków, była może dziesięć razy większą na brzegu lewym niż prawym? Poszukiwania ściślej od moich prowadzone może zmienią nieco ten stosunek, ale zawsze różnica będzie uderzająca. Ponieważ obadwa brzegi mają jednakowe warunki fizyczne, zatem przyczyna musi gdzieś indziej leżeć. Wszak i nad Wisłą zachodzi coś podobnego; tylko tam przeciwnie, bo brzeg prawy miał nierównie większą ludność, jeżeli także nowe odkrycia nie zmienią jeszcze znanego dziś stosunku owych siedlisk.

Nie były to wcale oddzielne wyrobnie narzędzi, jak mniema wielu, czyli tak zwane *stacye krzemienne*, ale raczej zwykłe siedliska i sioła z czasów powszechnego użytku krzemienia. Okoliczność, iż wszędzie obok narzędzi i innych szczątków, znalazłem i okrzoski przy wyrobie powstałe, dowodzi, że każdy robił je sam dla siebie i dla swego domu. Pojęcie specjalnych fabryk i rzemiosł, podobno było obce u ludzi posługujących się krzemieniem. W pierwotnym prostactwie obyczajów każdy sam sobie robił broń, narzędzia i odzież, budował mieszkanie, zdobywał żywność i wystarczał dla siebie, podobnie jak dotąd niektórzy włościanie w zapałdłych okolicach kraju. Jakby echem tradycji tych zamierzchłych czasów była jeszcze staropolska przestroga, że każdy dobry rycerz powinien umieć ukuć sobie miecz i podkowę.

O *palaitach* czyli nadwodnych mieszkaniach na podobnych rzekach jak Niemen, mowy być nie może. Siedliska starożytnych mieszkańców znajdowały się na wybrzeżach, gdzie rozmaite ślady ich pobytu przed baczem okiem ukryć

się dziś jeszcze nie mogą. Musiały to być w porze ciepłej szałas, a w czasie zimy ziemlanki, w jakich dotąd mieszkają wszystkie ludy Północy zostawione na stanowisku natury. Nabrawszy doświadczenia w miarkowaniu rozlicznych skazówek oznaczających przedwieczne siedliska, mogłem później nieraz z daleka rozpoznać gdzie się takowe znajdowały, a przybywszy na miejsce, wszędzie zbierałem rozproszone tu i owdzie okrzoski, rdzenie i narzędzia krzemienne, tudzież inne szczątki pozostałe. Słusznie więc powiedział uczony badacz angielski J. Lubbock, że dla starożytnika jeden wiór krzemienno jest tak pewnym dowodem dawnej bytności człowieka, jak dla Robinsona Crusoe były wycisnięte na piasku ludzkie stopy.

Jakkolwiek ludność ówczesna zamieszkiwała tylko brzegi wód, nie wypływa z tego, aby głównie zajmowała się rybołówstwem. Nie mówię o nadjeziornych mieszkańcach, bo wody jezior były zawsze bogatą spiżarnią krajowców, ale na Niemnie rybołówstwo jest trudne i daje niepewny sposób życia. Wszystkie okoliczności rozważone na miejscu każą wnosić, iż twórcy narzędzi krzemiennych nad Niemnem byli przeważnie łowcami bogatej w zwierzęną puszczy, jaką była cała późniejsza dzielnica kiejstutowa. Stałe siedziby przedhistorycznego ludu bądź stanowiły całe sioła, bądź leżały towarzysko zawsze w pobliżu siebie; obok nich jednak wszędzie nad rzeką znajdowałem ślady odwiecznego pobytu człowieka na brzegu znikłych puszczy, co przypomina niektóre okolice południowej Ameryki, gdzie tylko brzegi wód są zaludnione i życie społeczne ma swoje ognisko. Osady przedhistoryczne nadniemeńskie trzymają się prawie wszędzie wydm piaszczystych, położone zdala od okolic urodzajnych, co jest najlepszym znowu dowodem, że mieszkańcami ich nie byli rolnicy.

Rozmaite okoliczności posłużyć mogą do oznaczenia mniej więcej epoki, z której pochodzą. Gdybyśmy np. na zasadzie *postępu*, stopień doskonałości obrabiania krzemienia przyjęli za miarę epoki, to narzędzia tu znalezione, należące do kulminacyjnego punktu sztuki krzemieniarskiej, trzeba by odnieść do najpóźniejszych czasów użytku krzemienia. Sama rozmaitość tych narzędzi, których kilkadziesiąt typów znalazłem, dowodzi, że liczne były rodzaje zajęć ich twórców, a więc i pewny rodzaj cywilizacji. Jeżeli tę rozmaitość narzędzi i przedziwną zręczność w ich wykonaniu wzięlibyśmy także za miarę pierwotnej kultury, to ów starożytny lud nadniemeński nie tylko nikomu nie ustępował, ale nawet może przewyższał owe na północo-zachodzie Europy zamieszkałe. Nasz domowy Chronos nie powstydzę się teraz stanąć obok rzek Zachodu, a twierdzenia skandynawskich archeologów, jakobyśmy wszystko gotowe z ich ojczyzny dostawali, upaść muszą w obec dowodów dostarczonych przez brzegi Niemna, gdzie obok najmisterniejszych wyrobów znajdowałem mnóstwo nader małych okrzosków, jakie przy ich robocie powstały.

Do innych wskazówek należy zachodzący pewny związek między siedliskami z czasów krzemiennych a dzisiejszymi siołami, który jak z jednej strony dowodzi starożytności tych ostatnich, tak z drugiej nie pozwala wieku krzemiennych osad w zbyt daleką przeszłość odsuwać. Chemiczny skład znalezionych tu szczątków metalowych, tudzież porównanie przedmiotów naszych z wykopaliskami innych okolic i krajów, wreszcie zbadanie fizycznych przekształceń doliny niemnowej, wszystko rzucić może niemałe światło na oznaczenie zagadkowej epoki. Gdy jednak w niniejszym dzienniku miejsca na podobne studia nie posiadam, zostawiam je jako przedmiot oddzielnej pracy, a powracam do Niemna i dalszego ciągu mojej podróży.

(d. c. n.)

Nieco o powieściach w Bluszczu.

Powieść, ta najpopularniejsza forma naszej obecnej literatury, z prawdziwym nieraz obrabianym talentem, gorączkowo chwyтана przez wielu, a szczególnie przez ogół młodych, nie znalazła dotąd pióra, któreby mając tych ostatnich wyłącznie na względzie, czystością myśli i uczuć, jasnością pojęć, zdrowym poglądem na życie, dawało posilny pokarm słabej jeszcze młodej latorośli. Pomijając pisma przeznaczone ludziom wszelkiego wieku, które także względem ten w dziale powieści powinny mieć za obowiązek sumienia, gdyż z niego najgłówniej młodzież tylko korzysta; pomijając mówię pisma, które na pomieszczenie w nich powieści nie każdemu odpowiednich, usprawiedliwienie znaleźć mogą, dziwić nam się przychodzi, dla czego *Bluszcz*, pismo wyłącznie prawie poświęcone młodym kobietom, pod kierunkiem tak zacnej i tak znakomitem talentem obdarzonej Redaktorki, jednostronną tylko tendencją objawia w dziale powieściowym. Czy weźmiemy powieści oryginalne, czy tłumaczenia, z małym bardzo wyjątkiem, jedyną osią, na której się rzecz cała toczy, jest miłość; pierwsza strona powieści pochodnię tę zapala, ostatnia ją gasi. Gdybyż to miłość w obszerniejszym i wszechstronniejszym brana znaczeniu, byłoby to do pochwalenia, bo wtedy przedmiot powieści toczyłby się koniecznie i na polu społecznym lecz przeciwnie, miłość tam brana jest w zwykłym jednostkowym znaczeniu, a to szranki za ciasne. Dno serca jest niezgłębione, dla psychologa jak i dla moralisty jest ono polem studiów nieskończonych, lecz czyż dla tego mamy badać tylko jedną jego stronę? wszakże wszystkie inne są nam zarówno otwarte; dla czego chcąc koniecznie podnieść jedno tylko uczucie, kiedy w sercu naszym wiele innych równie pięknych i wzniosłych miejsc znaleźć może. Co zaś najważniejsza, to to, że czytania podobne oddziaływałyby szkodliwie bardzo na młode głowy, bo wskazując im jeden tylko cel życia, zyskanie serca oddanego sobie wyłącznie, usprawiedliwiają tem samym środki do celu tego prowadzące, egzaltują, rozstrajają, a nieraz i zatrują życie tych, którym Opatrzność drogie nieodpowiadającą marzeniem powieściowym przeznaczyła. Przejdźmy po szczególe wrażenia jakie robią powieści erotyczne na osobach różnego wieku i położenia. Jeżeli się one dostają w ręce młodziutkiej, niezepsutej istoty, budzą jej wyobraźnię i serce, uczą ją kochać, pragnąć miłości, rozmarzając i rozstrajając nieraz w sposób nieokreślony. To też dziewczątka młode są w stanie więcej romansową powieść przeczytać dwa i trzy razy, delektując się nektarem jeszcze im nieznanym, a już upragnionym, bo w czarującej czarze przed oczyma im stawiony. Jeżeli powieść taka natrafi na umysł bystrzejszy, serce mniej czyste, to potrafi dziewczę zacerpnąć z niej dla siebie nauczkę jak wywoływać uczucia, a raczej zyskiwać hołdy, jak patrzeć, mówić, milczyć nawet, by środkami temi usidlić tego, kogo w matnię wprowadzić zechce; nauczy się mdleć, chorować, gasnąć nawet, jeżeli to do komedii potrzebnem będzie, lub jeżeli śmierć bohaterki romansu, wyda jej się rzeczą bardzo ponętną. Wyczytawszy w powieści zdanie, że mężczyźni kochają tylko miłością szaloną, kobieta zręczna, umiejąca władać niemi, skoro tylko poczuje w sobie siłę odpowiednią, zechce jej próbować, — a jakie tego następstwa być mogą, niech zastanowienie nasze odpowie.

Weźmy teraz czy to młodą osobę nieszczęśliwą w wyborze przedmiotu miłości, czy narazoną na przeciwności, z którymi walczyć musi, czy mężatkę, której los przeznaczył człowieka innych wyobrażeń, odmiennego usposobienia, nieumiejącego okazać swego najserdeczniejszego nieraz przywiązania; czy ko-

bieta rozmarzona pokarmem takiego czytania, znajdzie usprawiedliwienie dla drugich, wytrwałość i hart potrzebny w walce z pragnieniami serca, czy w pełnieniu świętych swych obowiązków, w szczęściu drogich jej, potrafi szukać zaspokożenia? Bynajmniej, ona zawsze gonić będzie za tem, czego osiągnąć nie może, tęsknić do tego, czego posiadać nie zasługuje.

Jeżeli powieści o jakich mówimy wpadną w ręce kobiety z zimniejszym usposobieniem, umysłu rozważniejszego, zresztą starszej, już wytrawionej życiem, ta przeczytawszy taką jedną, drugą i trzecią, zachwycać się będzie technicznym ich obróbeniem, sliczną formą, ładnymi pojedynczymi ustępami, a nawet przewodnią myślą każdej z osobna, — lecz znudzona monotonością uderzania w jedną i tę samą stronę, zniechęcona, już następnych nie czyta, pewna, że w nich pokarmu dla umysłu swego nie znajdzie, a serca karmić nie chce, bo obowiązki inną stronę życia jej wskazują.

Niechże teraz do czytania tego weźmie się niemłoda, niezamężna kobieta, czy ono ją napeli przekonaniem, że szczęście w niej samej spoczywa, nie zaś w posiadaniu towarzysza ziemskiego, za jedyny warunek szczęścia uważanego. Czy wyrażenie często powtarzane „kobieta samotna” nie zabrzmi tęsknie na stronie jej serca. Wprawdzie powieści *Bluszczu* pokazują nam niekiedy kobiety, które bez rodziny własnej, umiały sobie stworzyć koło i obowiązki, zawsze jednak przebijają się w nich jakby żal do świata, poświęcenie się ich zdaje się być wywołane rodzajem rozpaczy wewnętrznej; zamiast więc budzić uczucia miłe, radosne, jakie każde poświęcenie budzić winno, wywołują tylko litość. A przeciw zadaniem moralności być powinno wykazanie człowiekowi, że w jakichkolwiek okolicznościach znajdować się będzie, szczęście i spokój pozyskać zdoła, jeżeli tylko szukać go nie zechce w mrzonkach, ale przyjmie życie jakim ono jest, z jego bólami i radościami, oprze je na niewzruszonej wierze, robi dla ludzi co może, a w zamian nie od nich nie żąda. Celu życia kobiecie myślącej nie zbraknie nigdy, zawsze ona znajdzie takich, którym prawdziwie pożyteczną być może, jeżeli tego pragnąć zdoła, chodzi tylko o to, by poświęcenie z jej strony nie było ofiarą, by płynęło z serca przepelnionego miłością ogółu, by praca była dla niej dźwignią i rozrywką, nie zaś ciężarem. Lecz nie zdołamy kobiety usposobić odpowiednio do wzniesłego jej powołania, jeżeli ją karmić będziemy mrzonkami, roztkliwiać jej uczucia, wywoływać pragnienia, których zaspokoić okoliczności jej nie dozwolą. Chcąc osiągnąć cel upragniony, trzeba wszelkimi możliwymi środkami działać na wyrobienie w niej hartu w walce z losem, z sobą i upodobaniami, wskazywać jej wiarę jako jedynego przewodnika w życiu, a poruszając oraz w formie dla niej przystępnej, jeżeli można nawet ponętnej, kwestye społeczne, przypuścić ją do współdziałania w myślach i pojęciach, zachęcić do badania kwestyj tak często się przedstawiających. Środkiem tym podniesiemy ją umysłowo i moralnie, i taka kobieta zapewne nie zechce być bawidełkiem i lalką, ale będzie przyjaciółką i towarzyszką życia i ulgą w pracy, której ciężar nieść wesolo potrafi.

Prawda, że miłość, nawet w znaczeniu takim, w jakim ją biorą powieści *Bluszczu*, jest misją, szczęściem i obowiązkiem kobiety; ale jej celem jedynym, historią całego życia robić nie można, bo inaczej wykazalibyśmy, że ta, która nie posiadała serca na własność wyłączną, choćby wytknęła sobie drogę pracy najwznioślejszą, była przyjaciółką szczerą i wylaną pomocy jej potrzebujących, matką duchową wielu dusz, którym umiała wskazać drogę życia prostą i bezpieczną, pozostanie zawsze „kobietą samotną”, bez prawa do zadawolnienia zupełnego.

Wprawdzie w dzisiejszych czasach tak trudnych dla młodzieży męskiej, a nacechowanych ogólnie pragnieniem pozycyi wyższej niż ta, do której nawet przy najszcześniejszych okolicznościach mieliby prawo, widzimy większość młodzieży uganiającej się za majątkiem, żeniącej się wbrew głosowi uczuć; słusznie więc Redakcyja *Bluszczu* dąży do ożywienia ogniem miłości choć jednej cząstki ogniska rodzinnego. Czy jednak tak jednostronny cel wyda dobre owoce? czy odpowiada żądaniom ogółu i wniosłemu celowi jaki pismo mieć powinno, na to Redakcyja sama odpowiedzieć zdoła. Ze czytania powieści w których jedyną osią jest miłość, choćby z największym skreślonym talentem już ogółu czytających nie zaspakaja, dowodem zapal z jakim porywaną była powieść *Duch i Praca*, inną przedstawiającą tendencją. Jakkolwiek rozwiązaniem swym ta powieść zawiodła oczekiwania, potrafiła jednak zaciekać do końca i pobudzić do myślenia nie jednego z czytających.

Myśli tu rzucone nie są moim indywidualnym sposobem zapatrywania się, są to poglądy ogółu starszych kobiet, a objawienie ich wywołała między innymi powieść *Rezolutna Panna*, z wielkim talentem napisana, z równym tłumaczona, po przeczytaniu której każdy jednak dziwił się pomimowolnie, dla czego dzielne pióro tłumacza wybrało ją z pośród tylu powieści angielskich pełnych kwestyj żywotnych i społecznych, i umieściło w piśmie takim jak *Bluszcz*. Jeżeli od kogo, to od Szanownej jego Współ-Redaktorki tylu pożytecznymi pracami zasłużonej, ma ogół prawo wymagać, by rzadki swój talent, tylko na prawdziwy pożytek ogółu, głównie młodego pokolenia obracała.

Nie jeden może przeczytawszy słów tych kilka, ze wzruszeniem ramion powie: „To purytanka, kwakierka, czegoż to ona chce? może pragnie, by dziewczę nie wiedziało, że ma serce, które jej do ludzi kołatać każe?” Inny może pomyśli: „Tem zapatrywaniem swym rzuca skazę na najczystsze, najświętsze uczucia, i w wieku strasznego pozytywizmu pragnie jeszcze wygładzić z serca młodych głos naturalny, który Bóg wlał w człowieka, by go nim związać ze światem i uczynić członkiem społeczeństwa.” Do winy tej się nie przyznaję, bynajmniej nie pragnę oziębienia miłości, tam gdzie ona jest istotnie, — tej zresztą wszelkie ludzkie działania nie zaszkodzą i stawienie obrazu jej w całej czystości przed oczyma młodych od czasu do czasu, bardzo jest właściwem; jednakże niechże pojęcia o tem uczuciu nie będą fałszywe i jako jedyne prawie pożywienie im dawane, bo wtedy niezawodnie popadniemy w złe wykazane i nie unikniemy stawienia przed wyobraźnią młodych typów tak ekcentrycznych jak *Leonory*, lub takich, jak: *Kobieta którą kochałem i która mnie kochała*. Wreszcie przekonaniem moim, walczyć przeciwko wadom dzisiejszej młodzieży nas rażącym jedynie bronią uczucia, na nic się nie zda: tu na rozum działać należy, jemu podawać karm' zdrową, pożywną i racjonalną, by ta go zabezpieczyła od szkodliwych wpływów dzisiejszych nowatorów w młodem pokoleniu, tak nam ze wszech miar drogiem; budzić zamiłowanie uczciwej pracy w zakresie potrzeb społecznych, to obowiązek każdego myślącego człowieka, zwłaszcza tego, na którego Opatrzność sama obowiązek ten włożyła, — darząc go wyższymi darami umysłu i serca.

Feliksa Eger.

KRONIKA RUCHU NAUKOWEGO.

Rzut oka na ostatnie postępy geografii.

(Dalszy ciąg.)

Do ważniejszych prac geograficznych dotyczących Europy, a w ostatnich czasach ogło-

szonych, zaliczamy kosztowne dzieło Arcyksięcia Ludwika Salwatora, o wyspach Balearskich. Pierwszy tom wydany w 1868 roku, zawiera opis wysp Ibiza i Formentera, drugi zajmuje się Mallorką, trzeci zaś ma być poświęcony opisowi Menorki. Dzięki wyczerpującym studiom wysokiego autora, niezbyt obfite wiadomości nasze o wyspach Balearskich, do tego stopnia wzbogacone zostały, że wyspy te zaliczyć obecnie musimy do krajów dokładnie zbadanych. Położenie geograficzne, klimat, stosunki geologiczne, Flora i Fauna, Antropologia i Ethnologia, jednym słowem wszystko co geografę obchodzić może, zostało przez autora uwzględnione i rozjaśnione. Cała powierzchnia wysp Balearskich zawiera 465 mil kwadratowych, a wyspy te, pomimo że niedaleko leżą jedna od drugiej, przedstawiają znaczne różnice i to nie tylko pod względem organicznej i nieorganicznej natury, lecz i pod względem samych mieszkańców, ich zwyczajów, obyczajów, strojów narodowych etc. Najmniejsza z nich Ibiza, mająca tylko 56 mil kwadratowych rozległości, przedstawia powierzchnię górzystą, gdzie niegdzie poprzęznaną małemi potokami, które podczas lata wysychają; tylko w części południowej spotyka się dosyć obszerne bagniska wody słonej. Roslinność dosyć jest bujną, pomimo długiej suszy podczas lata; lasy składają się przeważnie z dębów i świerków. Klimat jest bardzo łagodny: mróz i śnieg należą do rzeczy zupełnie nieznanych, najniższa temperatura wynosi 7° najwyższa zaś 32° według termometru Celsiusa. Cała ludność nie przechodzi 21,808 dusz, stan ogólnej kultury bardzo niski, przemysł prawie nie istnieje, tylko rolnictwo i połów ryb dostarczają mieszkańcom koniecznych potrzeb życia.

Mallorca, największa wyspa z całej grupy, zawiera 329 mil kwadratowych; część jej północno zachodnią przedstawia pasmo górzyste, z którego niektóre wierzchołki, jak np. Puig de Torrellas, wznoszą się aż do wysokości 1463 metrów, część południowo-wschodnią jest o wiele równiejszą, lecz i tutaj brzegi są bardzo strome. I na tej wyspie woda słodka nie jest obfita, w górach wprawdzie znajdujemy dosyć źródeł, na całym jednak territorium nie ma większej rzeki a tylko małe strumyki. Klimat w ogóle łagodny i stały, najniższa temperatura wynosi 0, najwyższa zaś 32° według Celsiusa; roślinność w ogóle o wiele bujniejsza jak na sąsiedniej Ibizie, oprócz dębów i świerków, znajdują się prawie całe lasy drzew oliwnych, pomarańczowych i cytrynowych. Ogólna ilość mieszkańców wynosi 418,128 dusz, prawie wszyscy cieszą się dobrem zdrowiem, a wielu dochodzi do późnej bardzo starości; tak że przeciętno na 100 osób, wypada jeden starzec liczący od 90 do 100 lat wieku. Mieszkańcy odznaczają się pracowitością, co szczególnie u ludów południowych uderza, szanują własność prywatną, tak że skargi o kradzież należą prawie do wyjątków. Przebiegając wyspę, nigdzie nie spotka się drzwi na klucz zamkniętych, cała familia udaje się na kilka godzin na robotę w oddalonych polach, pozostawiając mieszkanie pod strażą wiary publicznej. Piękny ten rys mieszkańców Mallorki, polecić można do naśladowania i innym narodom, należącym do wyżej niby cywilizowanych.

Lecz opuszcmy Europę, aby się zwrócić do kolebki rodu ludzkiego tj. Azji, która w znacznej części mało jest znaną. Do mniej zbadanych okolic należy Arabia, która, i na nowszych kartach geograficznych, przedstawia obszerne białe płace, jako wskazówki naszej niewiadomości. Podróż Wredego przed 30 laty odbyta dotychczas była najgłówniejszym źródłem wiedzy o wewnętrznej Arabii, i dopiero w 1870 i 1871 roku podróżnik Niemiecki baron Maltzan, zwrócił swe kroki w ciekawą tę krainę, aby uzupełnić podania Wredego. Maltzan udawszy się do Aden wszedł w stosunki z podróżującymi lub handlującymi Arabami, pozbiierał wiele wiadomości o wewnętrznych prowincjach Arabii,

i po ścisłej kontroli podał około 1000 nazwisk różnych miejscowości, pokoleń, gór, dolin, rzek, strumieni, źródeł, jezior, zbogaciwszy zarazem każde nazwisko, krótkim lecz wiarogodnym opisem.

Według Maltzana zbadana przez niego okolica obejmująca około 2000 mil kwadratowych, przecięta jest przez 5 głównych pasm górzystych, pomiędzy którymi spotykamy liczne wzgórza i doliny, mniejszej lub większej rozległości, przy brzegach zaś morza wznosi się znowu pasmo dosyć wysokich wzgórków. Produkta krajowe świadczą najlepiej o naturze ziemi, doliny obfitujące w wodę odznaczają się bujną roślinnością: do najbogatszych zaliczają dolinę Abian, gdzie plantacje bawełny stały się źródłem bogactwa krajowego, a następnie leżąca w kierunku północno-wschodnim od pierwszej, nizinę Yafi'a, pokrytą ogrodami cennych krzewów kawowych. Na zachód od Aden rozciągają się obszerne równiny, gdzie jednak dojrzewają tylko zboża i palmy daktylowe lichego gatunku. Okolice górzyste i płasko-wzgórza, są mniej żyzne jak doliny, lecz prawie wszędzie ziemia nadaje się do uprawy; znajdujemy też w tych okolicach winnice, obszerne plantacje tytoniu, ogrody z drzewami owocowymi jak np. brzoskwinie, morele, figi, granaty. Jak we wszystkich krajach gorących, tak i w Arabii, rozwój rolnictwa i pomyślność mieszkańców zależy od deszczów: gdzie braknie wody, roślinność jest uboga, i składa się przeważnie z roślin nadmorskich (salsolaceae). Pod względem klimatu, rozróżniamy w Arabii dwie odrębne sfery: w pierwszej padają deszcze zwrotnikowe, druga zaś zraszana bywa tylko przez niepewne deszcze zimowe, które się czasem i przez trzy lata z rzędu nie pojawiają. Do drugiej strefy należą okolice nadbrzeżne Arabii, oraz dosyć szeroki pas prowincji wewnętrznych; pomimo to w niektórych miejscach kwitnie rolnictwo jak np. w Laheg i Abian. Pomyślność rolników zależy od potoków, zwanych po arabsku Wadi, które u swego źródła i podczas przebiegu zbierają wodę z deszczów zwrotnikowych, i prowadzą ją takową do stron nadbrzeżnych, gdzie mieszkańcy, przy pomocy słuz i zbiorników, na czas upałów ożywcza wilgoć zachowują. Niekiedy też zimy bywają bardzo dżdżyste, lecz przypadkowe te deszcze nie wpływają stanowczo na smutny stan okolicy rzek pozabawionej, i dla tego też prowincje nadmorskie nie mogą nigdy rachować na dostateczne żniwa, należąc do krain ubogich.

Zupełnie odmienne jest położenie w prowincjach wewnętrznych, należących do strefy pierwszej, tam podczas lata przypada pora dżdżysta i o wodę obawy nie ma; gdyby tylko mieszkańcy przezwytyczyli wrodzone lenistwo i urządzili odpowiednie zbiorniki, okolice wewnętrzne mogłyby się zamienić w pyszny ogród.

Obszerną przez Maltzana zbadaną przestrzeń zamieszkują Beduini koloru hebanu, lecz odznaczający się harmonią członków i delikatnemi rysami twarzy typu semickiego. Z powodu gibkości członków, należą do najrzęczniejszych jeźdźców na wielbłądach, uapobienia w ogóle wojowniczego, tak że każdego chłopca od 13-go roku życia, nie zostaje się ani na chwilę z szerokim pugiuałem, i ze strzelbą lóntową średniowiecznego modelu.

Formy rządu pokoleń Arabskich bardzo są rozmaite, w niektórych miejscach sułtani mają władzę despotyczną, w innych panują zasady monarchii ograniczonej, w ogóle jednak przeważają małe rzeczy-popolite, zupełnie demokratycznego pokroju. W ostatnim razie władza szejka zwanego Aqel, tylko podczas wojny jest rzeczywistą, w czasie zaś pokoju jest czysto nominalną, nie wymierza on sprawiedliwości i nie ma prawa wybierania podatków. Sprawiedliwość wymierzają same pokolenia, według prawideł Vendetty: jeżeli człowiek jednego pokolenia zabity zostanie, między pokoleniem zabitego i zabójcy zaczyna się walka, która nie

kończy się zemstą za jeden wypadek, lecz staje się źródłem ciągłej walki i tysiącznych mordów. Walka taka wre całe lata, jeżeli się nie uda wysoko położonym duchowym, jak Szeryfom (potomkom Machometa) lub Meschaich (potomkom świętych) pogodzić zwaśnionych. Kradzież i inne drobniejsze przestępstwa, tylko wtenczas ulegają karze, jeżeli pokrzywdzony jest dosyć silny, aby samemu sobie sprawiedliwość wymierzyć. Baron Maltzan podaje jeszcze więcej uwag o zwyczajach krajowców, o ich przemyśle i handlu, o miejscowościach, które sam objechał lub przez wiarogodnych mieszkańców zbadał. Opisy tego podróżnika, przekonywają nas, że kraina uważana za pustynię stanie się wdzięcznym polem dla przyszłych badaczy.

Towarzystwo geograficzne Petersburskie korzystając z postępów Rossyjskiego oręża, stara się zapoznać z nieznanemi krajami Azji Środkowej. Początkowo wzięto sobie za zadanie, zbadać wschodnie i południowe wybrzeża morza Kaspijskiego, jako też i rozwiązać pytanie o ujściu starożytnego Oxus. Jeszcze za czasów Aleksandra Macedońskiego, wysłani przez tego zdobywcę oficerowie zrekonoskowali brzegi morza Kaspijskiego i donieśli że do niego wpadają dwie rzeki Oxus (Amu Darja) i Jaxartes (Syr Darja). Zwracając uwagę na starożytne drogi handlowe, któremi produkta Azji wschodniej sprowadzano do Europy, przychodzimy do przekonania że przynajmniej Oxus, musiał w starożytności wpadać do morza Kaspijskiego. Nie wiemy kiedy koryto rzeki zwróconem zostało, prawdopodobnie stało się to około 600 roku po narodzeniu Chrystusa Pana, w kronice bowiem Byzantynskiej Menandra, w opisie poselstwa Zemarcha, wspomniano że jezioro Aralskie składa się z obszernych bagnisk, do których starają się zwrócić wody rzeki Oxus. Mniej więcej od 600 do 1200 roku, obie wyżej wspomniane rzeki wpadały do jeziora Arabskiego, lecz Oktai-Chan około 1221 roku, przy oblężeniu miasta Urgendsz poprzecinał groble i tamy, i znow zwrócił wody rzeki Oxus ku morzu Kaspijskiemu. W opisie półwyspu Mangyszack przez Yakuta z 1224 roku, i w raporcie podanym w 100 lat później przez Hamdullah Mustawsi, wyraźnie wspomniano że rzeka biegnie ku morzu Kaspijskiemu. Podobnie w starym perskim rękopiśmie z 1417 roku, znajdującym się w rękę Rawlinsona, czytamy, że według starych ksiąg jezioro Charesm (morze Aralskie) przyjmuje rzekę Oxus, obecnie jednak jezioro to nie istnieje, gdyż rzeka Oxus skierowała się ku morzu Kaspijskiemu, gdzie też wpada w miejscowości zwanej Karlawe. Na początku 16-go wieku angielski agent handlowy Anthony Jenkinson, podróżując około 1550 roku po półwyspie Mangyszack, donosi że rzeka Oxus powoli wyschła, i obecnie tworzy jezioro Arabskie. Widzimy więc z powyższego, że odkrycie istotnego łożyska rzeki Oxus, należy do rzeczy interesujących i dla tego też Towarzystwo geograficzne Petersburskie, zwróciło na ten przedmiot uwagę swych agentów. Koszul, Radde, Siewers, porucznik Maloma, badając wybrzeża morza Kaspijskiego, nie pominęli poruczonego sobie przedmiotu. Na południowo-wschodnim wierzchołku zatoki Bałchańskiej, wznosi się ku wschodowi pasmo gór, zwane wielkim Bałchanem, a równoległe od niego, o 4 mile ku południowi, drugie pasmo górzyste, oznaczone nazwiskiem małego Bałchanu. Na południowym podnóżu wielkiego Bałchanu, między dwoma wyżej wspomnianymi pasmami gór, zauważono przy ostatniej wyprawie wojsk Rossyjskich przeciw Turkomanom, wyżłobienie prawie na milę szerokie, które przedstawiało charakter, opuszczonego łożyska rzeki. Dalej na wschód i południe od zatoki Michała, znalazł Maloma drugie szeregi ławic piaszczystych, które uważa za pośrednią wskazówkę gwałtownej walki potężnej rzeki z falami morza. Spostrzeżenie powyższe na tem większą zasługuje uwagę, że niedawno Middendorf, opisując stopy Baraba,

znalazł podobne ławice, rozciągające się ku morzu Arabskiemu. Towarzystwo geograficzne Petersburgskie, zamierza wysłać osobną wyprawę, celem wszechstronnego zbadania kwestyi, i stanowczego rozstrzygnięcia pytania o dawnym łożysku rzeki Oxus.

Z nabyciem Turkiestanu, otworzyło się dla uczonych Rossyjskich nowe działość pole, a nazwisko Prof. Fedczenko, ściśle się łączy z geografją tej pięknej i obszernej krainy. Podróżnik ten w 1872 roku opuścił Taszkient, celem zwiędzenia i zbadania Chaństwa Kokandzkiego, a otrzymawszy pozwolenie Chana, skierował swe kroki ku prowincjom górzystym. Z początku droga przebiega przez uprawne pola, później przeważają kamieniste stopy, przy mieście Ispara dosięgnięto granicy strefy więcej cywilizowanej. Ispara, starożytne Asferah, które nadało całemu pasmu gór swe nazwisko, leży na 2200 stóp angielskich, nad powierzchnią morza, a więc o wiele wyżej jak stopy Kokandzkie. Miasto nie zawiera żadnych pomników odległej starożytności, sterczą tylko ruiny obszernego meczetu z cegieł palonych, nie wiadomo jednak do której budynku ten odnieść epoki, pod tym względem nie ma pewnych danych, mieszkańcy przypisują to dzieło Abdullachanowi. W Ispara kończy się droga wozowa, dalej ścieżka prowadzi w górę przez wąwóz na 18 werset długi, aż do tarasu na którym stoi wieś Tszarka, wzniesiona na 3500 stóp nad powierzchnią morza. Ztąd z wielkim trudem dosięgnięto wioski Waruch, leżącej na 4600 stóp, i stanowiącej ostatnią osadę zamieszkałą przez ludność stałą, dalej ku górze istnieją tylko pastwiska Kirgizów. Prof. Fedczenko zajął się w górach wyszukaniem źródła rzeki Dżiptyk, stanowiącej rzeczywicie górną część koryta rzeki Ispari, jakoż udało mu się je odkryć pośród lodowców wzniesionych na 18,000 do 19,000 stóp. Po szczęśliwym odkryciu źródła rzeki zwiędzono wąwóz Karukasuk wznoszący się na 18,000 stóp i wymierzono niektóre wierzchołki sąsiednich gór, dochodzące do 19,000 stóp nad powierzchnią morza. W połowie Lipca, podróżnicy minawszy wąwóz Isfairam, wstąpili na płasko-wzgórze Alai mające do 10 wiorst szerokości, a wzniesione na 8000 stóp. Płaskowzgórze Alai ku wschodowi rozszerza się, nie widać w tym kierunku pasma gór, któreby go zamykały, tak, że przedstawia się widok nieograniczonego stepu, przebiegającego między górami. Od strony południowej Alai odgraniczony jest przez wysokie góry, nazwane przez Fedczenkę południowo Alajskimi, średnia wysokość tego pasma dochodzi do 19,000 stóp, pojedyncze jednak wierzchołki wznoszą się do 25,000 stóp nad powierzchnią morza. Wycieczka Fedczenki dopiero co opisana, doprowadziła do ciekawych rezultatów: oprócz bowiem zbadania przegrody granicznej między systemem wód Amu-Daryi, a systemem Styrdaryi, odkryto zupełnie nieznanne pasmo gór południowo Alajskich, odznaczające się tak olbrzymimi rozmiarami. (D. n.)

PAMIĘTNIK EWUNI

z opowiadania spisała

Zofia D.....a.

III.

Choroba moja trwała kilka tygodni; przez cały czas byłam bez przytomności gdy pewnego ranku obudziłam się, jakby po śnie długim. Zrozumiałam stan tych zwierzątek, co przespawszy całą zimę budzą się na wiosnę. Otworzywszy oczy spostrzegłam przy mnie pana Maryana z książką w ręku; widząc że mam oczy otwarte, wziął mnie za rękę:

— Dzięki Bogu—rzekł po chwili badania,—jużeśmy zdrowi; moja biedna Ewuniu, jakże się czujesz?

— Czy długo spałam?

— Dość długo, sześć tygodni, ale to nie

nie szkodzi, są kwiaty co tracą liście, by dostać pączków; już złe minęło, teraz zamknij oczy, i nie myśl o niczem.

Dopiero gdy odzyskałam zupełnie siły, dowiedziałam się o ważnych zmianach jakie zaszły w domu podczas mej choroby. Pan Maryan musiał mi je kilka razy szczegółowo opowiedzieć, zanim mogłam zrozumieć osłabionem pojęciem.

Stefan skoro się dowiedział o mej chorobie, kazał się zaprowadzić do mego pokoju i długo patrzył na mnie ze łzami. W ostatnich czasach zdrowie jego znacznie się pogorszyło, co zwróciło uwagę doktora który mnie leczył.

— Temu dziecku nic nie będzie—rzekł omnie—to gorączka nerwowa, która przy silnej konstytucyi złych skutków wyrzucić nie może; ale tu zdaje się jest drugi pacjent.

I wskazał na Stefankę.

Wuj zaniepokojony odprowadził go na stronę.

— Doktorze—zawołał—zlituj się, widzę po twoich oczach że źle; radz, zbadaj go, rozkazuj; rodzice zwykle ostatni poznają prawdę.

Doktor zbadawszy chorego zawyrokował, że nic jeszcze zrozpaczonego niema; zapewnił, że powietrze południowe cudów dokazać może, a zaszkozi zima spędzona w kraju. Dał do wyboru wyspy na Adryatyku, albo Mentonę, pani Orońska wybrała Mentonę. Biedny wuj nie czekał chwili; nie miał spokoju, dopóki wszystko nie było gotowem do wyjazdu. W wyprawie tej, sam wuj odprowadził na miejsce żonę i syna. Gdy wrócił, byłam prawie zupełnie zdrowa, siedziałam na fotelu pytając się po raz dwudziesty o szczegóły wyjazdu Stefana, Wuj uściskał mnie serdecznie.

— A twoja pacjentka jak Maryanie?—rzekł—bo mój już po kilku dniach był lepiej, i cieszę się że ich samych nie zostawiłem. Kilka dni po naszym przyjeździe zjawił się tam twój brat i miał przez całą zimę pozostać.

Wypadło teraz radzić co począć ze mną? Doktor nie pozwalał mi wyjeżdżać, nie wolno mi było nawet wychodzić z pokoju przez całą zimę. Zamiarem pana Maryana było oddać mnie na pensyę do klasztoru, gdzie była Reginka; ale doktor o tem słysząc nie chciał nawet na wiosnę.

— Spójrz pan na nią—rzekł—temu dziecku trzeba wolności, powietrza; zamknij go w murach, a zgaśnie jak kwiat bez słońca.

Panna Honnifleur zrobiła uwagę, że szkoda byłoby przerywać nauki rozpoczęte. Postanowiono więc że przez lat kilka pozostań jeszcze w Odrzewie. Panu Maryanowi żal było mnie opuszczać, spoglądał niespokojnie to na wuja, to na Domisję.

— Oh! Pani!—zawołała ciotka Domicjana—zgaduję troskę twego zacnego serca; Ewuni na niczem nie zbraknie.

— No! no!—rzekł wuj—nie troszcz się o nią, będzie jej dobrze, będziemy ją pilnowali jak oka w głowie... i nikt jej dokuczać nie będzie—dodał po cichu.

Pan Maryan najmniejszym słowem nie przypomniał mi przeszłego wypadku, może sądził że była dość już ukarana; i słusznie—smutek jego i troskliwość jaką mnie otaczał upokarzały mnie głęboko, a serce bolało za grzech popelniony. W dzień wyjazdu pana Maryana nieśmiało przybliżyłam się do niego.

— Czy mi Bóg przebaczy?—rzekłam cicho.

Przyciągnął mnie do siebie i odparł.

— Przebaczy, ale gdy się poprawisz, Ewuniu. Polecam cię Jego świętej opiece. Nie opuszczałem cię przez kilka tygodni twej choroby. Na dzień twej dziecięcej duszy, jak w wodzie podczas burzy, poruszały się męty i złoty piasek: złotem u nas jest serce, pobożność, prostota; mgłami imaginacya i urojenie. Dziecko drogic, bądź posłuszniejsza i pracuj wiele, usilnie, bo inaczej nie będziesz szczęśliwa.

Przed wyjazdem oddał Pan Maryan romansowago Niemca, odsunął powieści jakie tylko znalazł w naszym pokoju, sam napisał plan lekcji i tak każdym dniem rozporządził, że następowały jeden po drugim jak paciorki różańca jednakowo nawleczone na nitce. Wreszcie odjechał, zalecając jeszcze, bym się pilnie uczyła. Zostałam więc pod kierunkiem panny Honnifleur.

Panna Honnifleur była osoba wykształcona, to jest miała dużo wiadomości, a mało pojęć. Wiadomości jej przypominały owe galerie woskowe historycznych postaci, które czasem pokazyją po małych miasteczkach. Lubiała przytem arye z oper grywane na katarzynkach, dekalkomanię i fotografię, stawiała na równi z portretem.

Z pamięcią moją wyprawiała prawdziwe gimnastyczne sztuki, ćwiczyła ją tak, jak się wzmacnia słabe członki: kazała mi przepisywać do nieskończoności, układać katalogi, spisywać zbiory dat, zapisywać cało kajeta, ale myśl była gościem niezaproszonym na tę naukową ucztę.

W nauce każde słowo ma jakoweś znaczenie, a pojedyncze wypadki, zjawiska, fakta, są tylko ogniwami wielkiego łańcucha: ja przecież pisałam o wielu rzeczach, np. o feudalizmie, nie wiedząc co to za zwierzę, z historii reformacyi, znałam tylko nazwisko Lutra, z rewolucyi francuzkiej tyle tylko wiedziałam, że ścinano głowy ludziom niewinnym; natura w naukowem znaczeniu rozpadała się na kategorie, klasy, rodzaje, przyczem wszędzie nazwy łacińskie, a porządek zawilszy jak w filozofii Kanta. Chociaż nauka powinna nas prowadzić w okres praktycznego życia, i przetwarzać się w myśl czynną: ja, umiałam na pamięć ułamki, a nie potrafiłam wyrachować się z rubla; uczyłam się historii, bez pojęcia o narodowości, a katechizmu bez pojęcia o religii. I na cóż zda się patrzeć a nie widzieć, umieć a nie rozumieć? Mędrszy podobno odemnie był pierwszy lepszy chłopak wiejski, co kręcił z wierzby fujarki i grał dla rozweselenia duszy; może wtedy po głowie mu świtało, że gra dla chwały Bożej.

A jednak jakaż to piękna pora do nauki, pierwsze lata młodości! Wtedy, nauka nie wyczerpująca się nigdy, jakże przyjaźnie uśmiecha się do młodości, której pragnienie jest nieugaszone! Pamięć, ta władza dziecinna, zaczyna upadać i słabieć, a natomiast budzi się *Myśl*, siła wewnętrzna, która chce żyć i żąda pożywienia; otwierają się źródła żywe, a dusza, jak ziemia na wiosnę, zaczyna oddychać i chciwie pyta o podawane prawdy. Pełna uroku a niebezpieczna to chwila! Szkoda, że tego nie rozumieją patentowane guwernantki, biorące po dwa lub trzy tysiące złotych rocznej pensyi, według tego, czy są z muzyką, czy-bez muzyki.

Ileż to razy, podczas lekcji z panną Honnifleur, myśl niezajęta, znudzona, z niecierpliwością wychylała się po za granice małego pokoiku, bujała jak ptak dziki między niebem a ziemią, i od czasu do czasu zdarzało jej się spotykać między gwiazdami oczy raz już widziane w życiu!

Bywał wtedy w Odrzewiu nie młody sąsiad w widocznych zamiarach podobania się Domisii. Prawdopodobnie dotąd uprawiał tylko rolę pod żyto lub pszenicę, poznawszy Domisję zaczął uprawiać literaturę, a choć mu to szło z ciężkością, poświęcał po kilka godzin z rządu rozmowom o Słowackim i Byronie. Domisia choć ruszała ramionami na wzmiankę o nim, rumieniła się gwałtownie gdy wózek pana Jana zajeżdżał przed ganek, a skoro kilka dni widać go nie było, zapadała w głębokie zamyslenia, książka lub robotka leżała na kolnatch, a oczy jej błędziły bez celu ode drzwi do okna i od okna do drzwi. Pożyczała chętnie panu Janowi poezye, o których potem rozmawiali; to jest Domisia dużo mówiła, a pan Jan słuchając uważnie, powtarzał po przeczy-

95

taniu każdej książki formułkę raz przyjętą: „Dobrze-napisane.”

Raz po wyjeździe pana Jana, zostało kilka tomów Byrona na stoliku; ja właśnie skończyłam lekcję, podczas której przeszłam ważniejsze daty historii węgierskiej. Gdy panna Honnifleur wyszła z pokoju, rzuciłam kajeta niechętnie, myśląc jaka to nudna rzecz nauka. Przypadkiem spostrzegłam tomik poezyj; wzięłam go, przeczytałam kilka wierszy, od których kilkanaście; serce mi biło, oczy łzami zachodziły. Dla spokojniejszego czytania, wyszłam z książką do ogrodu. Zmierch zastał mnie jeszcze nad Korsarzem. Wróciłam wolno do domu. Właśnie zaczynała się noc pogodna, przepętna zapachem róż i jaśminów, słowik gdzieś śpiewał w oddaleniu, a księżyc, ten wróg odwieczny zdrowego rozsądku, nadawał wszystkim przedmiotom barwę snów złoconych.

Odtąd coraz częściej sięgałam do biblioteczki Domisi: przeczytałam Byrona, Słowackiego, Heinego, tych wielkich marzycieli, od których młodzi, zamiast uczyć się cudnego dźwięku języka, bogactwa obrazów, siły imaginacji, najczęściej chwytają tylko rozdzwięk ze światem i życiem, chorobliwe powstawanie przeciw powszechnym warunkom życia i ubóstwienie miłości.

Pierwszą odę czy sonet napisałam wieczorem przy gasnącej świeczce, kryjąc się, chociaż ciekawych nie było. Była to oda: „Do nieszczęścia i do miłości.”

W tym czasie nagła zmiana losu, jeszcze więcej usposobiła mnie do szukania wzorów życia w poezjach i powieściach.

Pan Maryan przyjechał raz niespodzianie bardzo rano; był mocno wzruszony i wszedłszy do pokoju, bez przywitania, zawołał do wuja:

— Piotrze, jakiś Bóg czuwa nad sierotami. Przeczytaj te kilka słówek.

— Wuj uważnie przeczytał podany mu papier i dzienniki, i wykrzyknął z zadziwieniem:

— A to smarkacz, patrz Domisiu.

— Tylko Ewciu! — zwracając do mnie moję rzekł pan Maryan — tylko nie sądź, żeś bohaterka romansu; to się i piwowarom zdarza.

W końcu dowiedziałam się o co idzie, nie wierzyłam własnym uszom. Co często służy za rozwiązanie powieści, to się trafiło mnie, mnie Ewuni, nikomu innemu tylko mnie.

Ow wuj przebywający w Ameryce, umierając zostawił mi znaczny majątek. Uśmiechnęłam się mimowoli, patrząc na skromne pudło starej maszyny, które stało w kącie.

— Cóż ja z tem zrobię?

Domicyana rzuciła mi się na szyję:

— Szczęśliwa! — rzekła podnosząc oczy — będziesz mogła zrobić wybór według serca!

Teraz jedyną zmianą w mojem położeniu był wyjazd pana Maryana za granicę dla dopełnienia formalności i objęcia sukcesyi.

Odtąd służąca Ludwika była mniej harda względem mnie, a nawet po kilku tygodniach, odebrałam bardzo czuły list od ciotki. Cóż to mogło mieć za związek z sukcesją? Pani Orońska przysłała mi swoją fotografię, robiła czułe wymówki za nasz dawny stosunek, i wspominała o ciągle trwających uczuciach przyjaźni Stefana. Spłakałam się nad dobrocią i poczciwością ciotki. Pan Jan, który zwykle przywoził bukiet dla Domisi, i dotąd słowa ze mną nie zamienił, przywiózł drugi bukiet dla mnie, i zapytał „Jakie lubię kwiaty?” Dowiedziawszy się że lubię róże, przywiózł mi bukiet takowych. Po kilku wizytach przyjechał bardzo wyświeżony i prosił Domisię o chwilę rozmowy. Wysłała zarumieniona mocno.

Skoro usłyszałam turkot odjeżdżającej bryczki, pobiegłam do domu. Domisia siedziała przy oknie nad wyblakłym dagerotypem.

— Co ci jest Domisiu? — rzekłam zdziwiona jej postawą.

Rzuciła mi się na szyję, zalana łzami:

— Oświadczył mi się o ciebie? — zawołała.

— Kto taki, pan Jan?

Na niespodziewaną wiadomość, że się ktoś o mnie oświadczył, rzekłam ze wzruszeniem, jakby od razu pasowana na godność kobiety.

— Sni ci się Domisiu! on się nie o mnie starał; zresztą to taka śnieszna figura.

Domisia nie przestawała płakać.

— To twój majątek Ewuniu, — rzekła. — Ale ja nie tego płaczę, oh! nie! Za Jana byłabym nie poszła, on byłby mnie nigdy nie zrozumiał; tylko są w życiu chwile... ale to przejdzie Ewo; za wiele cierpiałam...

Nie zatrzymał się już wezbrany strumień zwierzeń. Całując dagerotyp mówiła:

— To moja miłość; innej mieć nie będę.

Przed moją piętnastoletnią wyobraźnią rozwijał się cały romans biednej starej panny. Domisia poznała pana Maryana na balu i pokochała go. Nigdy nikogo nie widziała równie pięknego w ubraniu balowem. Powiedziała jej wtedy: „Pani ma śliczne kwiaty w głowie.” Później widywała go raz na rok i biedna Domisia ledwie nie umarła z miłości. Słuchałam płacząc opisu tego wielkiego uczucia, któremu ona wierność zaprzysięgła.

Zaklęte słowo miłości było więc już wymówione w mojem życiu. Odtąd często mówiłam o tem z Domisią, całemi godzinami marzyłam o miłości. „O Boże! — myślałam — kiedyż i ja to czuć będę co inne czują? Kochać i tylko kochać! Milcząc czekają na twoje zawołanie nowe światy: księżyc, gwiazdy, góry i doliny pokryte lasami i kwieciami, wszak dekoracja gotowa. Na cóż nam ludzi?” Przy takim usposobieniu kochamy się zwykle w uczuciu, nie znając jeszcze człowieka, a w tę cudną pieśń o kochaniu, wchodzi jakby fałszywy ton, myśl o sobie; zapominamy smutną powieść o młodziu, co stracił życie za to, że swego obrazu szukał w głębi fał zdrażliwych.

Gdy skończyłam lat szesnaście, panna Honnifleur kładąc ostatni kamień wielkiego gmachu nauki, — dziśbym to nie nauką, lecz raczej głupstwem przezwala, — zawyrokowała, że jestem panną skończoną, że się już użyć nie potrzebuję i wyjechała, zostawiając w moim „skończonym” umyśle jakieś uczucie niezaspokojonego głodu i pragnienia. Ostatnim moim mistrzem, stała się wtedy samotność. Odrzewo była ustron cicha, osamotniona; w ogrodzie było pełno drzew starych, w których się po nocach odzywał wiatr, jak duch przeszłości. Powoli myśl moja unosiła się w kraje nieznane. Niestety! słodyczy samotności winny kosztować tylko umysły dojrzałe; dla mnie niewyrobionej, była ona tem, czem dla dziecka ballady tajemniczy „Erlkönig.” Niebezpiecznie to słuchać głosu Wielkiego Nieznajomego: rozsądek jak ojciec niespokojny unosi cię do domu, tamten cię nęci i ludzi, poi i kołysze; tam cienie, widma, rokoszne postacie na wpół tonące we mgłę nocy letniej, wyciągają do ciebie stęsknione ramiona, chwytają się w obłędne koło, i ty z nimi dzieląc sny złudnej rokoszy, bez granic i miary, nie czujesz jak usuwa ci się noga w pierśsiach, coraz martwiej bije serce. Niestety! czemuż żadne praktyczne zajęcia, nie ściągają cię na ziemię. Nauka w tak ujemny podana sposób, jak to się zwykle dzieje, nie zdolna zająć myśli; serce, uczucie, tracą równowagę upojone poezją, jak narkotykiem wschodnim? Czemu widok prawdziwej boleści i nędzy nie zagłuszy w tobie urojonych nieszczęść? Zginęły dla ciebie świat, rodzina, praca i wesołość strojna w wdzięk zdrowia i prostoty; kochasz a kochasz, ale co? czeczność i marę; ubóstwiasz, ale twoim bogiem fałsz i urojenie.

Szkoda, szkoda tych najpiękniejszych dni naszego życia, że je jak garść piasku rzucamy na wiatr pustych uniesień!

Rysując raz ołówkiem mój przyszły ideał, który mimowoli stawał się coraz podobniejszy do Zdzisława, odebrałam list od Reginki. Po naszym rozłączeniu, zrazu pisywałam bardzo często do siebie, dzień prawie nie minął bez napisania listu; ale później listy nasze stawały

się coraz rzadsze, dni zamieniały się na tygodnie, miesiące, aż z miesięcy zrobiły się lata. Po roku milczenia, Reginka, wierniejsza ode mnie dziecinnej przyjaźni, odnawiała przerwana korespondencję.

„Niema i niema listu od ciebie, — pisała — czy to by się znaczyć miało, żeś zupełnie o Regince zapomniała? Nie, to być nie może; kochasz mnie, tyłkoś leniwa. Poczekajmy jeszcze parę lat cierpliwie, gdy na dobre wrócę do Zarucza, obiecał mi pan Maryan że mi ciebie przywiezie. Ah! czemu z nami nie jesteś, jak tu ładnie, spokojnie; niewiem czy gdzie tak się modlić można jak w naszej kapliczce. Matka Boska na obrazie jak gdyby miała zstąpić na ziemię; taka cisza uroczysta, tylko za oknami świergocą ptaki. I jak tu nie kochać Boga? Pod murem, z lewej strony, posadziłam z innymi pannami ogródek, najwięcej w nim lilij i róż białych; nazywamy to ogródkiem Najświętszej Panny, ścieżki pomiędzy krzakami nazywamy ścieżkami niewinności; obiecałyśmy sobie, że życie nasze do tego ogródka będzie podobne.

Niedobra Antosia, najgorsza z pańien externalistów, oberwała nam wczoraj róże przeznaczone do ubrania ołtarza. Henrysia mówiła, że najlepiej przebaczyć. Pisałam ci dawniej o Henrysi; kocham ją bardzo, ale zawsze nie tyle co ciebie. Bóg jej dał wielką łaskę, ma wokacyę, po skończeniu nauk zostanie już w klasztorze. Bardzo szczęśliwa — ja tak szczęśliwą być nie mogę. Najprzód zdaje mi się, że nie wyżyłabym bez taty, siostr, Zarucza, bez naszego sąsiada pana Maryana i... doprawdy nie doliczę się osób. Potem, żalby mi było włosów; to bardzo źle. Spowiadałam się z tego wszystkiego przed naszym ojcem duchownym, który mnie uspokoił i zapewnił, że wokacya jest łaską daną nam od Boga; że jako żona i matka, można się Bogu zasłużyć.

Zawsze zdaje mi się, łatwiej jest być np. św. Moniką, albo św. Elżbietą, niż świętą Marię Alacoque. Cóż to jest mieć złego męża? nie, tylko przebaczyć; a tu żyć w klasztorze całe życie — ah! nie! nigdy Ewuniu!

Miałam wczoraj listy z Zarucza od taty i siostr. Mój gołębnik o którym ci opowiadałam, przewrócił się ze starości, ale kilka par gołąbków zostało; podobno cytrynka, którą posadziłam przed wyjazdem do was, już wyrasta w drzewko; dzieci ją pielęgnują mówiąc, że to dla starszej siostry.

Już przecież dość tej gadaniny; na modlitwę dzwonią. Całuję cię mój gołąbku, i polecam opiece Najświętszej Panny.

Westchnęłam przeczytawszy ten list, który mnie uniósł w dziecinne lata. Odpisałam wspominając o mojej przyjaźni, o stałości mych uczuć, o tem, że smutna, i że mi nie dobrze na świecie.

Pan Maryan wrócił z zagranicy po kilku miesiącach, objawsz mi bogactwa w zarząd. Znalazł, że zupełnie na dorosłą pannę wyglądam.

— Czas pomysleć o długiej sukni Ewciu — rzekł przyglądając mi się; a wuj Piotr dodał ze śmiechem: A za rok o weselu i o wianku, co?

IV.

Kilka lat przepędzonych w Odrzewiu podczas nieobecności ciotki, nie zostawiły mi przyjemnych wspomnień. Późniejsze doświadczenie poróżniło mnie z tą chwilą mego życia, niechętnie też zwracam się ku niej pamięcią; często dobry nawet przyjaciel staje się niemylm, skoro nas widział w niekorzystnym świetle.

Od pewnego czasu dochodziły nas coraz lepsze wiadomości od ciotki. Stefan był zupełnie zdrow, z czego korzystając wybrał się w głąb Włoch; ciotka została sama w Mentonie i czekała tylko końca podróży Stefana, by wrócić do kraju. Spodziewaliśmy się ich na końcu wiosny; termin przyjazdu nie był jeszcze oznaczony, gdy pewnego dnia otrzymaliśmy

telegram z oznajmieniem, że za trzy dni nasi podróżni stanąć mieli w Warszawie. Siedzieliśmy właśnie przy obiedzie, gdy Jan wniósł depeszę; wuj Piotr zerwał się od obiadu, chwytając się za głowę z dziwnym wyrazem trwogi i szczęścia.

— Jąde, zaraz jadę, — zawołał — kochany chłopiec. Odkądże ja go nie widziałem? mój Boże! i powiedzieć że dziś zdrow zupełnie. Janie! nie chcę kawy, leć, każ zaprzęgać; no! Domisiu, Ewciu, Maryanie, mówcież coś, cieszyć się...

W tydzień później zebrani w małym saloniku czekaliśmy przybycia ciotki.

— Za dwie godziny powinni być, — rzekł pan Maryan patrząc na zegarek — ale jakże się dziś ubrałaś Ewuniu? czemu nie masz włosów?

— Codzień tak samo się ubieram, — odparłam z uśmiechem, — a pan nigdy na to nie zwracał uwagi.

— Chciałbym abyś się ciotce podobała, Ewuniu.

Lecz na twarzy pana Maryana czytałam jak w otwartej księżce; odgadłam, o kogo mu chodziło.

Poszłam się przebrać i przed szafą otwartą zamysliłam się głęboko. Stefana pamiętałam jeszcze prawie dzieckiem; co się z niego zrobiło? byłże podobny do owego wymarzonego? Przez krótki czas ubierania, nadałam Stefanowi wszystkie możliwe doskonałości: dziką, ogniastą duszę korsarza, spojrzenie harde wyzywające, twarz pociągłą, bladą, noszącą jeszcze ślady cierpienia, przytem talent śpiewu. Widziałam go ratującego mnie podczas pożaru, to zabiegającego drogę rozbieganemu koniowi który mnie unosił, to znowu jak mnie woził łódką po rzece, a obrazy nasze odbijały się w falach, jak to się dzieje z kochankami Słowackiego.

Zaledwie wróciłam do saloniku, gdy rozległ się przed gankiem turkot powozu. Drżałam pomimowoli idąc naprzeciwko ciotki.

— Kochana Ewo! drogie dziecko! — rzekła tak ujmującym głosem, że wszystkie dawne uprzedzenia znikły od razu. — Jakżeś wyrosła, uściskaj-że mnie, *comme une mere*; podaj ramię duszko, umieram ze zmęczenia.

Zajął się nią, i dopiero po chwili mogłam przywitać Stefana. Domisia zalana łzami całowała go w czoło, on odwrócił się do mnie, wziął me ręce w swoje dłonie: „Cóż Ewciu? — rzekł wzruszony — nie poznajesz mnie, nie przywitasz się ze mną?”

Niestety! Stefan nie wyglądał na bohatera: zmędział, ale się nie odmienił; poznałam dawny jego serdeczny uśmiech, czoło otwarte, spojrzenie łagodne i szczere. Twarz jego wydała mi się pospolitą; przyzwyczajonym marzyć o księżycu, niepodobna się światło domowej lampy. Taką postać jak jego, z małymi odmianami, można spotkać wszędzie i codzień; był więc stracony dla mnie.

Stefan wziął mnie pod rękę, i obszedł wszystkie kąty, witając każdy sprzęt z radością; stanął przy oknie swego niegdyś pokoiku. „Jak mi tu wszystko ciebie przypomina,” rzekł z tkliwością.

Czułam że mięknę względem niego; ale przy kolacji znów mnie oburzył: mimo wzruszenia, jadł za czterech.

Ciotka była bardzo ożywiona; bawiła nas opisanymi podróżami, zwracając głównie do mnie mowę. Wuj patrzył w Stefana jak w tęczę i zapadł w dawny zwyczaj młodego.

Rozeszliśmy się późno. Rozbierając się, byłam w najgorszym usposobieniu i z rozdrażnieniem słuchałam uwag Domisi.

Nazajutrz prosił mnie Stefan, bym mu pomogła w rozpakowywaniu kufrow z Włoch nadeszłych. Podjęłam się tej pracy chętnie. Czytałam niedawno Korynnę i kilka opisów podróży, byłam ciekawa Włoch jak ziemi obiecanej. Sądziłam, że się czegoś od Stefana i od jego pak dowiem; ale w pakach były tylko

książki włoskie i niemieckie, dzienniki, kilka naciętych rycin i parę rzeźb mało znaczących, Stefan zaś nie mówił.

— Mów-że mi co o Włoszech, — zawołałam z niecierpliwością.

On zaczął przybijając gwoździe do ściany.

— Brak mi gwoździ Ewo, — rzekł spokojnie. — Pytasz się o Włochy? słiczny kraj, ale cieszę się że już stamtąd wyjechałem.

— Ah! ileż razy ci zazdrościłam. Być pod tem cudownym niebem, oddychać pięknoscią jak powietrzem, zapomnieć o terażniejszości i żyć przeszłością, chwałą wielkich narodów! A Kolyzeum widziałeś? cudny być musi widok tych ruin o księżycu.

— Tak, a jednak dnia nie było, bym o Odrzewiu nie myślał i do tych kątów nie tęsknił.

— Kiedy ja tego nie jestem ciekawa, — zawołałam gniewna, — mów mi o Włoszech.

Szeroki uśmiech rozkwitł na roz pogodzonej twarzy Stefana; przyglądał mi się milcząco.

— Sliczne masz oczy gdy się zapalasz, Ewciu, — rzekł w końcu.

Chodziłam po pokoju nie starając się dalszej zawiązać rozmowy. Stefan zapalił cygaretko i patrzył na mnie z kąta.

— Bardzo się zmieniła — rzekł — nie do poznania; pamiętam cię gdys nie była wyższa od tej szafeczki i ciągle śmiałaś się ze mną. Niechby się te czasy wróciły; chcesz Ewo?

Ujęta jego słowami, podałam mu rękę na zgodę.

Pierwsze dni pobytu swego spędził Stefan na porządkowaniu, poczem wydobył z szafy jakieś fantazyjne strzeleckie ubranie z zielonemi wyłogami, i zacisnąwszy szeroki słomiany kapelus na oczy, od rana wychodził do gospodarstwa, albo na polowanie. Gdy wracał, zaraz w mgnieniu oka wszyscy się rozchodzili: ciotka miała interesa do ułatwienia, Domisia wychodziła pospiesznie gubiąc po drodze nici i napastręk, stary Jan przechodził cicho przez pokój uśmiechając się jak do dzieci, którym przeszkadzać nie trzeba. Zostawaliśmy sami, ale rozmowa nam nie szła. Byłam w usposobieniu wojowniczym: on stał zwykle nieporuszony, ja wybuchalam płomieniem; było to zetknięcie zapalki ze ścianą.

Gdy chciał czytać głośno, klóciłam się z nim o wybór książki, gdy wspominał lata dziecięce, ziewałam; jakieś dziwne uczucia targaly mną to w prawo to w lewo, oddalały mnie, lub przybliżały ku niemu. Stefan lubił zawsze być zajętem: gdy nie czytał, czyścił fuzję, rysował plany budynków, tresował wyżła, albo wypalał cygaretkę jedno po drugim, patrząc na mnie. Jego niezmienny spokój działał na moje nerwy jak jednostajne kapanie wody z ryny. W końcu po dość długiej sprzeczce z nim o poezji i konieczności jej w życiu, gdy Stefan nie mogąc mnie przekonać, wziął się spokojnie do gazet, stanęłam zniecierpliwiona przed nim.

— Powieźże mi, co ty na świecie lubisz? co ciebie kiedy rozgniewa w życiu? — zawołałam.

Przeciw zwyczajowi, oparł głowę na rękę, nie odpowiadając wcale; wreszcie odezwał się z goryczą:

— Trzeba widzieć choroby, abyś była dobrą dla mnie; lepsza byłaby będąc dzieckiem. Co lubię? to ci później kiedy powiem, a gniewa mnie, tego ci nie radzę.

Wzruszyło mnie znowu odwołanie się jego do przeszłości.

— A więc dziś jestem bardzo zła? — rzekłam spuszczając oczy.

— Psuja cię Ewo książki i imaginacya, — odparł z czułością — ale cię ludzie muszą kochać, bo masz dobre serce!

Ciążyły mi na sercu jego słowa. Razu jednego siedzieliśmy wieczorem przy otwartym oknie, i ja rzekłam śmiejąc się do ciotki:

— Nie wychodź Domisiu, pomożesz nam się nie znudzić; Stefan nie jest bardzo wymownym.

Czy chcesz dla zmiany Stefanie, zagrać ze mną w szachy?

— Zaraz wam przyniosę, — zawołała gotowa do posług Domisia.

— Nieznośna! — rzekł Stefan z niecierpliwością, gdy wyszła.

— A ja mam dla niej wiele szacunku, — odparłam stając natychmiast w opozycji — szacuję ją, jak wszystkie, które są wierne w miłości.

— Zawsze stwarzasz romanse Ewuniu, i nie chcesz przyjąć ludzi takich, jakimi są. Ciotka się starzeje; dziś poszłaby za każdego.

— A ja ci ręczę, że nie, i romansów nie stwarzam; kochała nieszczęśliwie, nigdy za męża nie pójdzie.

— To nierozsądnie; przeznaczeniem kobiety jest iść za męża.

— Więc chciałbyś, aby Domisia szła za męża, chociaż się kocha w kim innym?

— Nie nie chcę — odparł śmiejąc się, bez żadnego szacunku dla idealnej miłości Domisi, — ale nadzwyczajności nikt żądać nie powinien. Czemuż odrzucała porządnym ludzi?

— Bo żaden z nich jej nie rozumiał.

— Raczej ona sama siebie nie rozumie; zdaje się jej może, że powinna wzbudzać jakieś uczucia nadzwyczajne.

— Bo też i miłość jest rzeczą nadzwyczajną; nie rozumiem by która szła za męża dla tego tylko, że takie jest przeznaczenie kobiety. Idzie się za męża gdy się spotka wymarzony ideał, i znajdzie się wzajemność.

— Nie, Ewuniu — odparł Stefan bardzo poważnie — to tylko nierozsądek; inaczej pojmuję miłość.

— Ty? — powtórzyłam ruszając ramionami.

— Nie żaden wypadek, nie nowość w życiu, nie nadzwyczajność powinna rządzić tem uczuciem. Ty chcesz aby ci miłość z góry spadła jak gwiazda; wierzaj mi, tak nie jest, Ewuniu. Rzadko się bawię w porównania, ale gdy o miłości myślę, przypominam mi się zawsze to podanie, które nam powtarzano w dzieciństwie o Boskiej sukni Chrystusa: z Nim wzrastała, rozszerzała się; my tak samo żyjemy w miłości, nie wychodząc dla tego ze zwyczajnych koleji. Przepraszam, może cię nudzę?

Milczałam. Stefan znowu rzekł:

— A ty jakbyś kochała?

Stałam przy otwartym oknie, przez które powiewało letnie powietrze; wyciągnęłam rękę po gałąź róży i odrzekłam:

— Kochałabym bez namysłu i bez miary; w rękę moim chcę mieć od razu i cierń i kwiaty, — i rzucając różę na ziemię dodałam — choćby mnie kto tak jak ja tę różę podeptał nogami, kochałabym go nie przestała. Ale chcę, by miłość podobna była do cudownej poezji, do ciągle trwającego hymnu!

Stefan zesmutniał.

— To nie są żadne uczucia, — rzekł — ty nigdy nie będziesz szczęśliwa!

— To już mnie taką zostaw, — zawołałam gwałtownie — ty za to zawsze będziesz szczęśliwy: fuzya, wyżeł, gazeta, wystarczą ci w życiu; nigdy się nie zakochasz, zanadto jesteś rozsądny.

Stefan patrzył na mnie z dziwnym wyrazem.

— Dokończ jeszcze, — rzekł z uniesieniem — że się nikomu podobać nie mogę.

— Może i to, Stefanie.

Domisia przyniosła nam szachownicę. Zwycięski spokój Stefana na ten raz opuścił go zupełnie; ręce mu drżały gdy rozkładał figury, mieszał je, zatrzymałam mu rękę. Wstał i rozrzucając grę rzekł:

— Dajmy lepiej temu pokój; dziś grać nie będę — i wyszedł nagle.

— Cóż mu się stało Domisiu? — rzekłam zamysłona patrząc na rozrzuconą grę szachów.

— On się w tobie kocha.

— Bajki! — zawołałam z udanyim śmiechem.

— Oh! mnie nigdy oczy nie mylą; przeczuje miłość choćby w głębi ziemi. Kocha cię, Ewuniu.

Przeczuwałam to lepiej niż ona.

— I cóż? — mówiła Domisia — dobry chłopiec!

Podniosłam oczy w niebo. Moje przyjaciółki gwiazdy, między którymi spotykałam owe czarne oczy, mówiły mi, że gdzieś na świecie żyje dusza dla mnie stworzona, ideał na wpół Farys, na wpół Faust, z ognistym wejrzeniem, z duszą burz i zniechęcenią pełną; że kiedyś złączymy się jak dźwięki dwóch lutni. Göthe czy Schiller, mówił coś podobnego o lutniach, ale ja zapomniawszy o tem, wzięłam to za myśl oryginalną.

— Dobry chłopiec, — powtórzyłam — ale ja dobrych chłopców nie lubię.

Domisia śledziła myśli na mojem czole.

— Marzycielko! — rzekła — i ja taką byłam, mój Boże!

Wieczorem po herbacie, Stefan znalazł się niedaleko mnie.

— Czemże mam sobie wytłómaczyć twoją ucieczkę dzisiejszą? — rzekłam nie patrząc na niego.

— Czem chcesz, choćby bólem głowy.

— A więc mimo całego znanego rozsądku, który wszyscy uwielbiamy w tobie, słabą masz głowę, mój drogi? — rzekłam lekko.

Spojrzenie Domisi pełne wyrzutów zachęciło mnie tylko do dalszych żartów; byłam w szale dowcipu. Stefan w końcu wstał od stołu i pożegnał mnie.

— Gdzież cię niosą kroki filozofa? — spytałam.

— Idę czytać. Czemu mnie było męczyć cały wieczór?

Chciałam się roześmiać, lecz wzrok Stefana mnie zatrzymał. Patrzył na mnie nie wypuszczając ręki mojej z dłoni.

— Przepraszam, — zawołałam w końcu — sądziłam że rozsądni ludzie nie czuli są na takie drobnostki.

Stefan rzekł głosem zmienionym i jakby zominając się zupełnie:

— A gdybym był nierozsądny i nieszczęśliwy? Daj mi tę różę, którą masz we włosach.

Dałam mu kwiat, on wyszedł prędko z pokoju.

Nazajutrz obudziły mnie pierwsze promienie słońca. Czy słońce, czy też jakieś dziwne uczucie, ogarniało mnie jak powódź. Wstałam lekka jak ptaszek, i odrzuciłam ciemną suknię, którą mi podawała służąca. Wyszłam do ogrodu. W białej sukni nie powstydziałam się cudnego poranku. Trawy lśniły się od rosy, dzwony były w oddaleniu jak w dzień świąteczny. Biegłam swobodnie, gdy nagle na zakręcie uliczki spostrzegłam Stefana. Był bładny, nabijał fuzę. Myśl szalona przyszła mi do głowy; rzuciłam się drżąc ku niemu.

— Co robisz? — krzyknęłam.

Podniósł głowę zdziwiony.

— A! dzień dobry, — rzekł podając mi rękę — idę polować na dzikie kaczki. Chodź, odprowadź mnie kawałek.

Skrzydła imaginacji zanosły mnie za daleko. Czułam się upokorzona; nie mogłam Stefanowi darować tego, co moją było winą. Szłam milcząca obok niego, zatrzymaliśmy się dopiero na małym wzgórku. Cała wieś tonęła w promieniach słońca; wieża kościoła wychylała się z po za drzew, przy drodze bawiła się gromadka dzieci. Stefan patrzył na wszystko i piersi jego zdawały się zbierać uczuciem.

— Jak tu pięknie! — zawołał.

Niewiem jaki zły duch wionął na mnie; przesadzona poetyczność budzi w nas czasem żywe poczucie śmieszności. Spojrzałam na ogorzałą twarz Stefana; pod ogromnym kapeluszem wyglądała fatalnie zdrowo.

— Prawdziwa Arkadya, — odparłam z uśmiechem — czyby ci też Stefanie dobrze było w stroju pasterza?

Ton ironiczny szyderstwa uderzył Stefana gdy był pełen zapału. Oczy jego zabyły, odwrócił twarz, opierając się o jakiś kamień. Uczułam, że go zraniła.

— Stefanie! — zawołałam z żalem — zmartwiłam cię, przepraszam.

Podniósł na mnie oczy, z których znikły ślady wzruszenia.

— Wróć lepiej do domu; — rzekł zimno — taki chłodny poranek.

Nazajutrz zajechała przed ganek bryczka Stefana, który odjeżdżał na sąsiedni folwark pomagać ojcu w gospodarstwie, jak się dowiedziałam od Jana.

— Gospodarstwo tam gospodarstwo, — kiwał głową stary — ot pali się w sercu i tyle. Piastowałem to od dziecka nieraz na ręku, wiem co się w chłopcu dzieje.

Po wyjeździe Stefana bardzo mi było smutno, w nocy spać nie mogłam, w dzień tęskniłam; zdawało mi się, że Stefan zachorował gwałtownie, że w malignie wymawiał imię moje. Gdy więc następnej Niedzieli przyjechał zdrow zupełnie, a w postępowaniu jego dla mnie był tylko cień zniechęcenia, nie mogłam mu znowu tego darować. Myśl zawsze unosząc mnie daleko od prawdy, psuła cenę rzeczywistości.

Stefan nie przyjechał sam; towarzyszył mu praktykant, którego wuj przyjął do pomocy w gospodarstwie. Pan Hirschenfeld był bardzo młody, nieznośnie przystojny; posadzony obok Domisi przy obiedzie, zaczął od westchnienia zapytaniem: „Czy pani lubi wies?” Otóż, mimo nieszczęśliwej miłości, Stefan uśmiechał się patrząc na jego twarz gładką jak kula bilardowa, na węzeł żółtego krawatu, i słuchając jego westchnień. Dużo z wujem i panem Hirschenfeldem rozmawiali o gospodarstwie. Ciotka układała plany podróży za granicę na początek jesieni, do której i ja miałam należeć. Stefan nadmienił o projekcie jechania tej samej zimy do szkoły agronomicznej.

— Będę tylko gospodarzem; — rzekł — dużo czasu straciłem, chciałbym przynajmniej umieć gospodarować.

— A to na co uczę się gospodarstwa za granicą? — odrzyknął wuj — dawna zasada najlepsza: „podpierać a zbierać;” nasi ojcowie nie szukali żadnych rozumów zagranicą, a pieniądze mieli.

Stefan się uśmiechnął.

— Inne czasy drogi ojeze! Chciałbym nie tylko gospodarować, ale być dobrym gospodarzem i światłym obywatelem!

Nie czuła byłam na to, co podobne słowa miały w sobie zacnego i rozsądnego; widziałam tylko, że widocznie Stefan spokojnie przyjął nieszczęście, i nie chce się zabić z miłości.

Co niedziela powtarzało się to samo: o jednej godzinie zjawiał się Stefan w kościele, gdyśmy siedzieli w kalatorskiej ławce pod czerwonym baldachinem, a potem dzień w Odrzewiu przepędzał. Tłumiłam uczucia, gniewna, że mój romans urojony zaczynał brać coraz to pospolitszy obrót: sprzągać czwórkę, jeździć po żonę bitym, utartym gościńcem co niedziela jak szewc, tego podobno żaden bohater nie robił.

Tymczasem nadchodził dzień naszego wyjazdu za granicę. Ciotka kazała kufry z góry poznosić, cały dom był w poruszeniu. Wyjechalśmy w piękny dzień jesienny. Pan Maryan, który miał pospieszyć za nami, wuj Piotr, Domisia pożegnali nas z ganku. Serce mi mocno biło, gdyśmy wyjeżdżali ze wsi. Ciężka podróżna karetka podnosiła tumany kurzu, gi-

nęły mi z oczów pola i łąki Odrzewskie. Patrzałam milcząca na wązki słup dymu, który się ze strony stacyi unosił w górę. Pierwszy raz wychylałam się na świat szeroki. Z rozkoszą pomyślałam, że może w tych oddalonych krajach czeka mnie nowe życie i nieznane wzruszenia, coś nadzwyczajnego; że ze spokojnej kurki na grzędzie, raz przecie orłem wzbiję się pod niebiosa. (d. c. n.)

KSIAŻĘ MOREI.

Powieść napisana po grecku

przez A. R. Ranagabé.

(Dokończenie).

W dniu następnym wszyscy zaproszeni na zapowiedziane polowanie zgrupowali się w mieszkaniu Villehardouin'a. Robert przybył tam również z całym swym orszakiem, który przypłynął wreszcie na trzech okrętach; Agnieszka zaś otoczona paniami i rycerzami swego dworu. Lecz gdy już wszyscy wyruszyć mieli pod przewodnictwem księcia Morei, wszedł niespodziewanie towarzyszący księżniczce wraz z Templaryuszem, biskup Radesty, i począł namawiać ją usilnie, aby korzystała z pomyslnego wiatru i udała się niezwłocznie w dalszą podróż.

— Podróż waszej Książęcej Mości, wyrzekł, i tak już przedłużyła się nadspodziewanie, gdybyśmy ją odkładali jeszcze w chwili sposobnej, która znów się może nie prędko nastreczy, zostalibyśmy odpowiedzialni za tę zwłokę przed Jego Cesarską Wysokością.

— Wyznaję, odrzekła księżniczka drżąc ze wzruszenia, że nie pragnę jeszcze opuszczać tych miejsc w których się czuję tak szczęśliwą....

— Ależ pani, mówił Templaryusz, skoro wiecie że dzień jeden może nas przyprawić o znaczną stratę czasu, wahać się nie powinniście...

— Nie słuchajcie doradców waszych przeważa żywo Villehardouin, obowiązek który chcą spełnić czyni ich nielitościwymi dla nas. Nie zamieniacie nam dnia weselnego w dzień żałobny. W imieniu wszystkich tu zgromadzonych błagam was, zatrzymajcie się dziś jeszcze..

Młody Godfred z Villehardouin wysunął się z koła rycerzy posłyszawszy słowa ojca, i szybkim ruchem zgął kolana przed Agnieszką:

— Pani! rzekł, skoro chcą cię wyrwać z grona twych rodaków i zaprzedać cudzoziemcom; kiedy poświęcić cię pragną królowi-dziecku, zaledwie wysłżem z kolebki, pozwól mi błagać abyś nie zezwalała na ten gwałt okrutny! Pozostań z nami a utworzymy z piersi i mieczów naszych wał, który cię obroni przeciw niebezpieczeństwu i nieprzyjaciółom wszelkim! Być może że serce moje umysł zaslepią; być może że krok obecny policzon mi będzie za zbrodnię, gdyż urodzony zdala od tronu, považam się sięgnąć po jeden z najpiękniejszych jego klejnotów! A jednakże pomimo to wszystko, w obec Boga, zgromadzonych tu baronów, rycerzy, dostojników Kościoła i rodziców, którzy nie sprzeciwiają się życzeniom moim, ofiaruję ci moją wiarę i wieczne poświęcenie, i ślubuję nie powstać, dopóki mi powstać nie rozkażesz, lub nie zadasz ciosu śmierci!

Głuchy szmer podziwu przebiegł całe zgromadzenie, w obec śmiałego czynu młodzieńca. Anna stłumiła okrzyk radosny, a Petralifas obruszenie najwzjęsze. Agnieszka zaś uśmiechnęła się wdzięcznie.

— Powstańcie rycerzu, rzekła podając mi rękę, a potem dodała powstając sama:

— I ja podobnież w obecności Boga, baronów i panów tu zgromadzonych, równie jak przesiwietnego księcia Peloponezu i dostojnej pani Izabelli jego małżonki, oświadczam, że przyjmuję ofiarowaną mi wiarę i przyznaję moim panem i małżonkiem szlachetnego Godfreda z Villehardouin.

Łatwo odgadnąć że Templaryusz i biskup oświadczyli się przeciw woli księżniczki; przedstawienia ich wszakże nie zmieniły jej postanowienia.

— Powróćcie do Konstantynopola, rzekła im w końcu, i powiedzcie matce mojej ukochanej, że nie wiedziała prawdy; że chciano mię poświęcić przewrotnej polityce zaslubiając z siedmioletniem dzieckiem, a matka moja błogosławić wam będzie. Powiedzcie cesarzowi, że w miejscu niedołęznego dziecka, sprzymierzeńcem jego i krewnym zostanie najwaleczniejszy chrześcijański rycerz, dziedzic najpiękniejszej prowincyi dotykającej stóp bizantyńskiego tronu, a cesarz gdy pierwsze wrażenie przeminie, wdzięcznym wam również pozostanie!

Wszyscy obecni przyklasnęli tej mowie, a księżniczka upadła w objęcia Villehardouin'a i pani Izabelli, którzy ją uściskali wtedy jak córkę.

Villehardouin zbliżył się potem do Petralifasa i szepnął mu, że nie może się opierać postanowieniu syna. Petralifas zaś nie chcąc się przyznać do wstydu porażki, odezwał się wtedy głośno że w obec zgromadzonych dostojnych osób zaręcza wnuczkę swą, córkę księcia Hellady, z Wilhelmem de la Roche, dziedzicem Ateńskiego księstwa. Anna która kochała Gauthier'a, obumiera znów z trwogi że będzie musiała zaślubić pana jego, i z wielką rozpaczą dziadka wręcz odmawia. Ale Gauthier zakończy szczęśliwie rzecz całą, wyznając że obyczajem ówczesnych rycerzy, chcąc wpiersz pościć serce narzeczonej, starał się o jej względy pod przybranem nazwiskiem, i że on właśnie jest Wilhelmem de la Roche.

Villehardouin prosi następnie wszystkich obecnych, aby mimo spóźnionej pory nie zaniechali zamierzonego polowania, gdyż pragnie wśród uczty przygotowanej w lesie, święcić uroczystość zaręczyn Wilhelma de la Roche z Anną Komneną i syna swego z Agnieszką z Courtenai. Wkrótce więc cały orszak udał się w góry, a wieść o podwójnych związkach rozszła się szybko po mieście.

Chamaretes pod ten czas obudzwszy się w swem więzieniu, dostrzegł okienko zakratowane którego nie mógł widzieć w nocy. Odkrycie to obudziło w nim nadzieję wyzwolenia, którą też niezadługo zamienił w rzeczywistość wyłamaniem kraty, i znalazł się wśród obszernej ogrodu otaczających mieszkanie Petralifasa. Mógł ztamtąd łatwo dostać się na otwarte pole, lecz pragnął przedewszystkiem wiedzieć przyczynę zdrady; poszedł więc spiesznie do mieszkania w którym doznał tak przykrego zawodu. Dowiedział się tam, że Petralifas wraz z Anną udał się na polowanie, Villehardouin'a. Nie wiedział co począć dalej, bądź co bądź chciał rozmówić się jeszcze zaczem działać rozpocznie. Polowanie najlepszą mogło po temu następcę sposobność, ale wiedziećby najpierw trzeba w którą udano się stronę? Poszedł więc zacerpnąć o tem wieści w mieście, ale tam jednocześnie powiedziano mu o zaręczynach Anny, a wiadomość ta dotknawszy go uderzeniem piorunu, zmieniła wszystkie dalsze zamiary. Wybiegł jak szalony po za mury i nie zatrzymał się aż u kościoła S-tej Zofii, gdzie zamieszkiwał opuszczoną pustelnię; przestąpiwszy próg jej padł ubumarły prawie, wymówiwszy bezprzytomnie imię Anny.

Gdy się potem ocucił z otręwienia w którym pozostawał, zdało mu się, że śnił o jakimś bolesnym wypadku, gdyż oczy miał zwilżone łzami. Z przytomnością powróciło wszakże uczucie rozpacz, i snuły się w duszy najdziwniejsze myśli. Chciał zabić Wilhelma, Petralifasa i Annę, a potem wydać wojnę na śmierć pokoleniom Franków, zapalając stos na górze, aby zgromadzić wodzów. Zrzucił w końcu suknię zakonną, przebrał się i uzbroił na nowo,

i szybkim lubo chwiejnym krokiem wyszedł z pustelni.

O samym zachodzie słońca stanął w miejscu, gdzie niegdyś zatrzymał się z Petralifasem, aby pieszo dalszą odbyć drogę. Pora zmroku nader krótko trwa w Grecyi, zanim więc wszedł w głąb lasów ciemność rozpościerała się poczęła, i ujrzał nagle na szczycie góry stos zapalony, błyszczący jak djament w królewskiej koronie. Za chwilę potem drugi szczyt ukazał się w płomieniach, a następnie trzeci i czwarty i wreszcie wszystkie zajaśniały ognistym wieniec. Chamaretes sądził, że wzburzona jego wyobraźnia wywołuje złudzenie. Polowanie już się skończyć musiało, więc ognie nie były potrzebne dla wypłoszenia zwierza z kniei. Czyżby niebezpieczeństwo jakie zagrażało sprawie Grecyi? Myśl ta stłumiła wszelkie osobiste uczucia młodego wodza i szybkim krokiem podążył w stronę *jaskini wilka*. Noc była ciemna, całun chmur zasłaniał słabe gwiazd światła, Chamaretes wszakże szedł śmiało znaną sobie drożyną. Patrząc zawsze w górę zauważył, że jeden z płonących stosów porusza się i przedłuża, a wreszcie jak wąż ognisty pełza ku dolinie; w miarę jak widziadło zbliżało się poczęło, poznał dopiero, że to ludzkie zstępujący z góry z pochodniami w ręku. Serce młodego wodza zadrzało, gdyż odgadł, że jest w obec orszaku Villehardouin'a. Pociągany przez dwa sprzeczne uczucia to chciał biedną naprzeciw niego, to znów iść gdzie go wołała powinność. Ostatnie względy przemogły, lecz gdy szedł zwolna ku *jaskini wilka* nagle światła widziane w oddali znikły, i ciemność głęboka znów zaległa do koła. Daremnie chciał sobie zdać sprawę z tego wypadku, znał bowiem dobrze miejscowość i wiedział, że żadna naturalna przeszkoda zakryć przed nim nie mogła tak raptownie światła. Było to znów tajemnicze wydarzenie, któremu tem dziwniejszy nadały charakter zbliżające się jednocześnie do Chamareta ludzkie postacie, sunące po ziemi lekko i cicho jak cienie. Chamaretes był odważny, więc widząc, że w tę samą udają się stronę, przyłączył się do nich i szedł pospołem, lecz mniemał w głębi duszy, że widzi cały szereg duchów ojców którzy opuścili swe groby.

Villehardouin sam kierował polowaniem z wielką uciechą Agnieszki, zachwycanej pięknoscia okolicy i rycerzy uradowanych obfitoscia dzikiego zwierza. Gdy słońce miało się już ku zachodowi, psy wytropiły jelenia za którym wszyscy puścili się w pogoń. Noc zaskoczyła ich w nieznaną okolicy. Książę kazawszy wtedy zapalić pochodnie doprowadził swych gości do głębokiej zacisznej doliny, gdzie przy blasku ognisk zastawiono wspaniałą ucztę na cześć narzeczonych. Gdy już miała się ku końcowi, Mons szepnął coś na ucho księciu poczem tenże wstał i dał hasło do powrotu. Dla nierównej i przepaścistej drogi, konie prowadzono oddzielnie, wszyscy zaś udali się pieszo poprzedzeni ludźmi niosącymi zapalone pochodnie. Gdy zagłębiać się mieli w cienisty parów u stóp góry, książę kazał zagasić światła i prosił, aby wszyscy szli w milczeniu. Zdziwieni lecz i zaciiekawieni zarazem tem poleceniem, goście spełnili je wiernie i wtedy to właśnie Chamaretes przyłączył się do nich.

Tymczasem wszyscy wodzowie Peloponezu uczestniczący w poprzednim zebraniu, zawiadomieni o zapalonych ogniach, pospieszyli zbliżyć się do wskazanego miejsca, a gdy stosy zapłonęły po raz ostatni, zbiegli się do pieczary oczekując tam w milczeniu dalszych wypadków. Voutsarus przybył ostatni.

— Chwała Ojcu rzekł wchodząc, zdaje się, że drzewo doszło potrzebnego wzrostu i rębacze ściąć je mogą. Lwy wyjdą z jaskini i biada wtedy wilkom! Godzina nadeszła chwala Ojcu! godzina zemsty w której wychylimy do ostatka przepelniony już puhar. Lecz czemuż

nie widzę pomiędzy wami tego który nas tutaj zgromadził? Chwała Ojcu! gotowi jesteście, ale gdzie jest nasz przywódzca?

— Jeżeli mię przyjmiecie w jego miejscu gotów jestem na usługi wasze, odezwał się wtedy silny głos u wniścia, i Villehardouin stanął w obec sprzysiężonych otoczony swym orszakiem.

— Na nic wam się nie przyda obrona, rzekł do Voutsarusa i innych którzy za miecze chwytali, bo jak widzicie nie sam jestem. Swistnął w srebrną piszczałkę zawieszoną u pasa, a na ten odgłos ze wszech stron zbrojni otoczyli spiskowych.

Nie dziwiecie się temu mówił książę; od dwóch godzin wszystkie stráže wasze uwięzione zostały, a teraz pozwólcie niech spełnię moją powinność wodza sprawdzając czy jesteście wszyscy obecni? Czytał potem głośno spis który miał w ręku. Umiecie dotrzymać słowa, rzekł w końcu, nie braknie nikogo.

— Mylicie się! zawołał wtedy Chamaretes z pomiędzy orszaku, z którym razem wszedł do pieczary, braknie właśnie tego który zgromadził tu wszystkich, jedyne winowajcy godnego kary, a tym winowajcą ja jestem!

— Ależ imienia twego nie ma w spisie? przerwał Villehardouin.

— Spis ten, odparł Chamaretes, rzucając piorunujące wejrzenie na ukrytego w cieniu Petralifasa, spis ten kupiliście za trzydzieści srebrników! Bratobójca Kain i bogobójca Judasz znajdują może prędzej miłosierdzie przed Panem, aniżeli ten co go sprzedał. Imię moje było tu wraz z drugimi, ale je zatarła jakaś litość nikczemna! Spytajcie raczej obecnych tu braci!

Duch narodowy Grecyi uosobiony przez autora w postaci Chamareta objawia się w dalszej jego mowie. Gdy zaś przerażeni spiskowi, w których już przeczuć można było przyszłe pokolenie fanaryotów, przyjmują przebaczenie Villehardouin'a, Chamaretes odrzuca je z wyniosłością godną bohaterów praocjów i umiera niechcąc patrzeć na poniżenie kraju swego.

— Panie, mówi wtedy do Villehardouin'a Voutsarus, ostatni Ladeceńczyk nie żyje! teraz dopiero jesteście niewątpliwie księciem Morei!

Od Redakcyi Kroniki.

Panu Józefowi de M... w Baranówce. Cztery początkowe tomy pierwszej seryi wysłane. Tom piąty kosztuje rs. 5 wraz z przesyłką pocztową.

Panu P... w Hrobrzy. Na dalszą prenumeratę otrzymaliśmy 2 rs. za pośrednictwem księgarni Glücksberga Ks. Ch... w Poniewieżu. W liście datowanym, z miesiąca Lutego (?) otrzymaliśmy całoroczną prenumeratę. Wszystkie numera zaległe wysłane.

Nakładem Redakcyi Kroniki Rodzinnej wyszło świeżo:

„Homo versus Darwin“ czyli „Sprawa o pochodzenie człowieka“ z angielskiego przełożył Dr. Bonifacyusz Nemo. Jestto rozbiór krytyczny teoryi Darwina o pochodzeniu człowieka, z punktu naukowego przedstawiony w formie rozprawy sądowej.

Cena dla prenumeratorów kop. 50

„nieprenumeratorów „ 75.

Za przesyłką pocztową na prowincyę dopłaca się kop. 10.

Skład główny w Biórze Redakcyi.